NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. — TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 23 czerwca 1906 r. Nr. 25.

Straszny pogrom w Białymstoku.

(Treść na stronie 18).



„Sokól" w Warszawie: Założyciele świeżo zlegalizowanego Tow. gimnastycznego „Sokól".



Adw. przys. Stanisław Popowski.



Klemens Starzyński, przemysłowiec.



Kand. praw Karol Malczewski.



Dr. med. Jan Guirard.

„Sokół" w Warszawie.

W początkach bieżącego tygodnia lotem błyskawicy rozeszła się po całej Polsce radosna wieść, że władze administracyjne ostatecznie zatwierdziły ustawy Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" w Warszawie.

Historya przyoblekania się myśli o zawiązaniu „Sokoła" w Warszawie sięga r. 1902, kiedy to na wystawie sportowej taki entuzyazm wśród warszawian wzbudziły popisy krakowskiej drużyny sokolej pod wodzą p. Rudzińskiego. Od tej chwili zaprowadzano stopniowo ćwiczenia sokole w Towarzystwach: Cyklistów, Łyżwiarskiem, Wioślarskiem, Pracowników handlowych itp. Wszystko to jednak były zrzeszenia prywatne, istniejące i działające pod nazwą „Kółek gimnastycznych". Dopiero podczas pamiętnej „konstytucyi listopadowej", po manifeście ogłaszającym wolność związków, zapalony zwolennik idei sokolskiej, p. Karol Malczewski, zebrał u siebie grono osób, z któremi pospołu położył pierwszą cegiełkę pod obecnego „Sokoła". Niebawem po zawiązaniu się pierwszego gniazda, „im. Kościuszki" — zaczęły powstawać nowe, wymownie świadcząc, jak podatny grunt u nas spotkało Sokolstwo. Powstały więc gniazda „im. gen. Dąbrowskiego", „im. Kilińskiego", „im. Staszyca" i „Czwartaków". Gniazda rozwijały się bardzo pomyślnie, gdy wtem wypadł w Warszawie stan wojenny, a z nim „rozporządzenie obowiązujące" grożące 3-miesięcznem więzieniem lub grzywnami do 3000 rb. za należenie do organizacyi nieulegalizowanych. Wówczas wybrano komisyę trzech: dr Jana Guirarda, adw. przys. St. Popowskiego i przemysłowca Klemensa Starzyńskiego, których upoważniono do poczynienia kroków na drodze formalnej. Starania te obecnie uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem: „Sokół" w Warszawie, który oddawna dojrzewał w sercach warszawian, wykwitnął teraz kwiatem wonnym, wspaniałym...

* * *

Już w poprzednim tygodniu podaliśmy dwie wspaniałe grupy uczestników Koła gimnastycznego w Dolinie Szwajcarskiej w łonie tamtejszego Tow. Łyżwiarskiego. Jednakowoż dopiero po zamknięciu numeru nadeszła wiadomość o zlegalizowaniu Tow. „Sokół" w Warszawie, więc nie mogliśmy już podpisać pod rycinami, że to Sokoli i Sokolice z gniazda generała Dąbrowskiego. Dziś podajemy znowu inną grupę druhów warszawskich, oraz portrety założycieli tamtejszego „Sokoła", nowego kolegi gniazd galicyjskich, szląskich i poznańskich, które przez lat tyle wypowiadały w okolicznościowych toastach gorące pragnienia nadejścia chwili ujrzenia na zlotach swoich przedewszystkiem Sokołów z Warszawy.

Lwów obrał nowego króla.

Najstarszą i w dziejach miasta Lwowa najpamiętniejszą organizacyą, jest istniejące od połowy XV wieku po dziś dzień Towarzystwo Strzeleckie. Dzieje tego Towarzystwa, które w ciągu wieków przechodziło rozmaite koleje tak pod względem historycznym jak i w swych wewnętrznych urządzeniach, wiążą się bardzo ściśle z losami miasta.



„Sokół" w Warszawie: Grupa nowo powstałych „Sokołów" warszawskich z inicyatorem Towarzystwa, Karolem Malczewskim w pośrodku — z okazyi zatwierdzenia ich ustawy przez władze administracyjne.

Trzeba bowiem pamiętać, że mieszczaństwo lwowskie miało na mocy przywilejów królewskich rozległą władzę w mieście i własny samorząd, zaś „urzędem wojskowym“ czyli załogą miasta rozporządzało właśnie Towarzystwo strzeleckie, do którego najwybitniejsi mieszczanie należeli.



Lwów obrał nowego króla: Wybitny mieszczanin lwowski, Józef Ścibor Rylski, nowy król kurkowy, świeżo intronizowany na Strzelnicy miejskiej.

Powstało Towarzystwo strzeleckie z bractwa łuczników, czyli ciskaczów (iaculatores); bractwo to miało urządzenie na wzór innych miast polskich. Nie ulega zaś wątpliwości, że tak we Lwowie, jak i w innych miastach pierwszym powodem do zaprowadzenia takich bractw świeckich była potrzeba bronienia się przeciw napadom wrogów, a celem ćwiczenie się we wszelakiej broni. Potrzeba ta była tem większą we Lwowie, jako mieście, położonem na pograniczu Rzeczypospolitej Polskiej. Mieszczanie lwowscy też słynęli ze swego męstwa i odwagi i nigdy nie szczędzili ni życia, ni krwi swej, gdy trzeba było stanąć w obronie rodzinnego miasta.

Pierwsze początki bractwa strzeleckiego są zapewne bardzo dawne, organizacya jego zaś — historycznie stwierdzona — sięga 1445 roku, jak o tem wspomina w swej kronice Zimorowicz. Podstawą rozmaitych przywilejów strzelców lwowskich jest przywilej nadany konfraterni strzeleckiej przez króla Zygmunta Augusta w r. 1546.

Po dziś dzień utrzymały się w Towarzystwie strzeleckiem rozmaite tradycyjne uroczystości, wśród których najważniejszą jest doroczna intronizacya króla kurkowego.

Godność króla kurkowego przypada w udziale temu członkowi Towarzystwa, który podczas strzelania do tarczy, zrobi najcelniejszy strzał, t. zw. „gwóźdź“. Strzał taki i połączona z nim godność jest od wieków ideałem i marzeniem każdego mieszczanina lwowskiego. W roku bieżącym strzał taki padł z ręki p. Józefa Ścibor Rylskiego, który będąc jednym z najlepszych majstrów krawieckich we Lwowie, okazał się też jednym z najdzielniejszych strzelców. Wogóle — jak powiadają kroniki miasta — cech krawiecki zawsze słynął ze swej dzielności i w szeregach swoich miał najlepszych strzelców.

Intronizacya nowego króla odbyła się w ubiegły czwartek, w święto Bożego Ciała, ze zwyczajną okazałością, a przy udziale bardzo wielu mieszczan we wspaniałych strojach narodowych. Między obecnymi, było też całe prezydyum miasta i wielu radnych, tem więcej, że prezydent miasta p. Michalski jest prezesem Towarzystwa, a wiceprezydent Ciuchciński, wiceprezesem Towarzystwa. Stąd też pochodzi, że w dziejach miasta dotychczas odgrywa tak ważną rolę Tow. strzeleckie, znane w Radzie miejskiej pod nazwą „Strzelnicy“.

W numerze dzisiejszym podajemy portret króla kurkowego p. Józefa Ścibor Rylskiego, oraz zdjęcie fotogr. grupy członków, zebranych na strzelnicy podczas intronizacyi nowego króla.

Warszawski aktor milionerem.

Przed paru tygodniami wszystkie dzienniki nasze obiegła wiadomość, że ze Lwowa wyjechał do Ameryki ubogi urzędnik Wydziału krajowego Nowicki, wezwany do podjęcia przynależnej mu części ogromnego spadku, jaki pozostawił tam umierając jeden z jego krewnych. W ślad za tem pojechało za Ocean już kilku innych Nowickich, którzy chcą udowodnić, że część majątku po nieboszczyku i im się należy. A fortuna to olbrzymia: 40 milionów dolarów! Okazało się obecnie, że rodzonym synowcem owego zmarłego w Stanach Zje-



Warszawski aktor milionerem: Szczęśliwy spadkobierca, Seweryn Nowicki, galicyanin, a od lat 20 wybitny artysta teatru Rozmaitości w Warszawie, synowiec zmarłego w Ameryce Nowickiego, po którym pozostało do podjęcia 40 milionów dolarów.

dnoczonych Polaka-milionera jest znany artysta teatru Rozmaitości w Warszawie. Galicyanin z urodzenia, Seweryn Nowicki, który również ma zupełnie słuszne pretensye do spadku po stryju. Sprawę powierzył już sympatyczny artysta adwokatowi i zapewne rychło ze sceny sięgnie po miliony...



Lwów obrał nowego króla: Na Strzelnicy lwowskiej grupa członków wiekowego Towarzystwa Strzeleckiego z okazyi intronizacyi nowego króla kurkowego, Józefa Ścibor-Rylskiego.

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

13 Ciąg dalszy.

W podwójnych sidłach.

Rychło znaleźli się w jakimś brudnym zaułku krakowskim, gdzie Kosiara zapukał w małe okienko na dole, czerwoną zasłonięte firanką, z poza której przedzierały się żółte blaski przyćmionej lampy.

Firanka uchyliła się lekko i przez szparę ukazało się na chwilę oko. Kosiara zbliżył twarz swoją do szyby, co miało ten skutek, że firanka zapadła zaraz z powrotem, wewnątrz pokoju blask światła rozjaśnił się wyraźniej, a wśród ciszy zupełnej wokoło słychać było śpieszne otwieranie drzwi.

W bramie staroświeckiej kamienicy zgrzytnął klucz w zamku.

Kiedy próg czarnej, jak czeluść, sieni sklepionej przekraczała Laura w towarzystwie Kosiary, doznawała wrażenia, jak gdyby wchodziła w podwoje więzienia.

Owionęły ją wstrętne wyziewy, gdy weszła do brudnej, nędznej izby, gdzie w świetle kopcącej lampki z poszczerbionem szkiełkłem bez klosza, rzucał się w oczy największy z gratów, ogromny, połatany parawan. Poza nim ujrzała Laura na łóżku śpiącą młodą kobietę z rozsypanemi po poduszce złotemi włosami; bujna pierś wyzierała z pod mocno wyciętej, grubej koszuli ponsowej w granatowe grochy. Wejście ich nie przebudziło śpiącej, poruszyła się tylko na szarem, kraciastem posłaniu i nogami w bok skopała starą, wypełzłą kołdrę niebieską, z której wyłaziła żółta wata.

Z drugiego łóżka pod oknem wyszła była co dopiero, bramę im otwierać na pukanie, starzejąca się kobiecina niska, z dużą głową, rozczochrana, która teraz szeptała coś z Kosiarą w progu, poczem zostawiwszy gości, podreptała żywo do drugiej izby.

W minutę później wybiegła stamtąd tęga, wysoka brunetka w bladoróżowej koszuli, z twarzą, widocznie zaspaną i nie rozglądając się wcale, wskoczyła do próżnego łóżka pod oknem i wsunęła się pod pierzynę.

Za nią zaraz wróciła z drugiego pokoju gospodyni i ująwszy Laurę pod rękę, wprowadziła ją tam.

Natychmiast drzwi się zamknęły na klucz i księżniczka Czerska znalazła się sam na sam w malutkim pokoiku z oknem zakratowanem na podwórko.

W pierwszej izbie obie młode kobiety spały, a stara prowadziła szeptem tajemniczą rozmowę z Kosiarą.

— Moiściewy, Wojciechu, musicie mi przecież coś powiedzieć... niechby było nie wszystko... Ale jabym przecie umarła z ciekawości.

— Nic wam więcej nie powiem... dość, że macie złoto pod dachem i grube pieniądze dostaniecie odemnie, jeśli wam się uda przechować ją u siebie bezpiecznie, dokąd mi będzie potrzeba.

— Możecie być spokojni, Kosiaro... samibyście sobie tak nie dopilnowali.

— No, bywajcie zdrowi, moja Pędzikowa, a czuwajcież nad dziewczyną, pilnujcie, jak oka w głowie, bo wam powtarzam, że to marne dziecko dla nas warte...

— Ile, ha?

— Cały majątek!

Koło południa wrócił Kosiara do Pędzikowej właśnie w takiej chwili, kiedy ona sama była w mieście i kiedy zastał w domu jedynie młode jej lokatorki. Obie jeszcze w łóżkach były, ale już się wyspały i przeciągały się na brudnej pościeli.

Pogadał on z niemi półgłosem, co chwila ręką wskazując na drzwi do drugiego pokoju, od których klucz gospodyni zabrała ze sobą, wychodząc. Po poufnej rozmowie Kosiara wsunął każdej z nich w rękę srebrnego guldena, jeszcze raz przykazując śmiejącym się kobietom, żeby się nie ważyły zawieźć jego zaufania i zastosowały się w razie potrzeby w myśl jego prośby do podanych wskazówek.

— Wiecie zatem, gdzie w razie czego trzeba mnie szukać lub dokąd dać mi znać na wypadek zdrady.

Nadszedł wieczór. Lokatorki Pędzikowej wystroiwszy się i wymalowawszy w ciągu całego popołudnia, wyszły nareszcie z domu obie, a stara sama zostawszy, zapaliła lampę i siadła czytać gazetkę, w sąsiedniej trafice kupioną.

Nagle Pędzikowa aż podskoczyła na krześle i przysunąwszy sobie bliżej kopcącą lampkę, zaczęła czytać uważniej wiadomość, która ją zaintrygowała.

„Dziesięć tysięcy nagrody temu, kto wskaże miejsce pobytu porwanej mi córki Laury“...

— Psia kość słoniowa, a jeżeli to będzie właśnie ta sama...

Poczem zaczęła rozczytywać się w dokładnym rysopisie zaginionej panny.

— Całkiem podobne... Jak gdyby się wszystko zgadzało.. I to z Warszawy, a przecież Kosiara stamtąd przyjechał... Zaraz, zaraz, zapomniałam sobie, jak się ten książę nazywa..

I przysunęła sobie pod oczy raz jeszcze gazetę, odczytując podpis pod ogromnem ogłoszeniem grubemi czcionkami na czele numeru brukowego dziennika:

„Mirosław Czerski“.

Wyjęła z kieszeni klucz i otwarła nim drzwi do drugiego pokoju. Przymilając się jak mogła, wdała się Pędzikowa w rozmowę ze swoim więźniem.

— Moje biedne dziecko, a jakże ty się panienko nazywasz?

— Laura Czerska.

Przebłyski nadziei.

Byłaby się zdumiała księżniczka piorunującem wrażeniem, jakie wywarła na Pędzikowej wyznaniem swego nazwiska. Nie mogła go jednak wyczytać ze zmienionej nagle twarzy swojej gospodyni, ponieważ ta usłyszawszy silne stukanie do drzwi, wybiegła otworzyć.

Laura mimowoli zajrzała przez drzwi uchylone do pierwszego pokoju i zauważyła, że Pędzikowa żywo przez chwilę z kimś rozmawiała w progu, nie wpuszczając go do środka, poczem zaraz wróciła do Czerskiej.

— Niech panienka będzie taka dobra i przejdzie do tamtego pokoju.

Księżniczka z rezygnacyą wstała z krzesła i poszła w ślad za starą, która wskazała jej parawan.

— Na minutkę proszę się tam schować — szepnęła jej do ucha i zaraz zasunęła za nią ostatnie skrzydło parawanu.

Czerska była zbyt zobojętniała na wszystko w strasznem przygnębieniu swojem, by mogła interesować się czemkolwiek, coby się nie działo w około niej w tej chwili. To też nie zauważyła wcale, że Pędzikowa wpuściła teraz do środka jedną ze swych dwóch dotychczasowych lokatorek, która w czyjemś towarzystwie śpiesznie przeszła do drugiego pokoju, gdzie przed chwilą jeszcze więziono Laurę i drzwi za sobą zamknęła.

Wówczas stara zbliżyła się do niej, odchylając znów pierwsze skrzydło parawanu.

— Już można.

Usiadły przy stole w mętnym kręgu lampy, której knot zwęglony jęła teraz Pędzikowa poprawiać, mówiąc cichym szeptem:

— To łotr ten Kosiara... on panienkę wykradł ojcu... A matkę ma pani jeszcze?

Laura poruszyła głową przecząco.

— Ten zbój porwał panienkę na to, żeby od tatki wymusić grube pieniądze... O, to łotra kawałek! Ale ja mu zdmuchnę z przed samego nosa ten dobry interesik, bo ja mam z nim na pieńku...

Księżniczka szeroko oczy otwarła, słuchając ciekawie, jak gdyby zaczynała cośkolwiek pojmować.

— Kosiara zemścił się za coś tam na paninym ojcu. Ja zasię znowu, widzi panienka, swoje mam rachunki z tym złodziejem i mam swoje powody, żeby się na nim zemścić... A to tylko dobrze dla panny.

I jeszcze bardziej głos zniżając, nachylona prawie do ucha Laury, szeptała dalej:

— Coby też pani o tem powiedziała... gdybym ja tak — tu urwała, zawahała się nieco, poczem ton zmieniając, rzekła, stulając chude ramiona: — No, moiściewy, trudno... dobre serce ja mam... ależ przecie nie grzech zarobić, skoro jest okazya... Więc i to nie darmo zrobię, ale jak Pana Boga mam w sercu, tak się przysięgam, paniusieczko kochana, cobym to zrobiła naprzód nie dla zysku, a ino głównie, że mi cię żal, moje biedne dziecko złociutkie.

W Laurze zatrzęsło się serce, bo już z tego wstępu zrozumiała, iż może mieć nadzieję rychłego ocalenia. Miała więc zamiar właśnie wskazać Pędzikowej drogę, jakiej użyć należy dla przyjścia jej z pomocą, gdy ta mówiła sama:

— Otóż moja panienko, cobyś tak, duszko, powiedziała na to, żebym ja cię odwiozła do ojca, do samej Warszawy...

— Boże drogi... gdybyś pani tylko zechciała.. wszakże mój ojciec po królewsku wynagrodziłby panią za tę przysługę... Zresztą, gdyby to pani trudności sprawiało, to wystarczy telegraficznie ojca mego zawiadomić w tej chwili, a jutro rano będzie tu po mnie...

— Oh, nie duszko — odparła stara, kiwając swoją dużą głową.

Uśmiechnęła się na to Laura dobrodusznie.

— Domyślam się, o co pani idzie. Ale proszę mi wierzyć, że w tym wypadku tak samo nie ominęłoby pani sowite wynagrodzenie. Wszakżebym ojca zapewniła, iż wyłącznie pani zawdzięczam ocalenie, więc czybyś mnie osobiście przywiozła do niego, albo czybyś mnie tutaj oddała w jego ręce, na jednoby wyszło, ręczę pani za to, ozłociłby panią z wdzięczności, a stać go na to, milionową ma fortunę.

W głowie Pędzikowej zaczęło się mącić, dotychczas doznawała już wrażenia, jak gdyby znajdowała się w posiadaniu owych dziesięciu tysięcy, obiecanych przez księcia, w publicznych ogłoszeniach, w nagrodę za wskazanie mu miejsca pobytu wykradzionej córki.

A kiedy w tej chwili z ust młodziutkiej księżniczki usłyszała, że ojciec jej lokatorki chwilowej jest nie tylko autentycznym księciem, lecz zarazem milionerem — wydała się jej owa suma dziesięciu tysięcy zbyt skromną i w mgnieniu oka opętały ją marzenia o zdobyciu nagrody, podwójnej, potrójnej...

Wprawdzie nie miała powodu nie wierzyć zapewnieniom księżniczki i sama pojmowała, że nie byłoby prostszego i łatwiejszego sposobu nad wysłanie telegramu do zrozpaczonego ojca, mimo to projekt ten odsuwała stanowczo, jako niebezpieczny w jej warunkach.

— Paniusieczko kochana — tłómaczyła pannie Czerskiej — ja ci wierzę, duszo, ale widzisz, ty wiesz swoje a ja swoje... Nicby mnie z tego nie przyszło, gdybym ja tu na miejscu dostała Bóg wie jakie pieniądze od tatusia dobrodzieja, bo zaraz zagrabiłby mi je zbój Kosiara... A jeszcze zanimbym do rąk dostała, to ten łotr, ledwie się na zdradzie poznawszy, zakatrupiłby mnie na śmierć... Znam ja go, moiściewy, tyle lat, to i wiem, co mam o nim trzymać.

— A czy może mnie pani zawieźć sama aż do Warszawy tak, żeby temu Kosiara nie przeszkodził?

— Jużem pomyślała o tem, duszo, a jakże.

— Ale to paszporty potrzebne, przypominam, a ja papierów nie mam żadnych.

— Na wszystko rada jest... Pieniędzy na podróż starczy mi, bo to ja, paniusieczko złota, bywałam już w Warszawie, to i wiem, co jak kosztuje... A z paszportami jest taki sposób, że mam na granicy znajomych, co się trudnią szwarcowaniem i przeprowadziliby nas po przyjaźni za rubla.

— Skoro tak, to potem w Królestwie niema obawy o nic aż do samej Warszawy, bo w razie czego wystarczy mi nazwisko swoje wymienić... Zbyt dobrze w całym kraju znają mego ojca.

— Tylko widzisz, duszo, jest inna parada z tą nāszą podróżą... Nie możemy jechać wprost, bo Kosiara pilnuje nie tylko panienkę, ale i mnie bestya także musi śledzić... Więc niechbyśmy się wybrali koleją tak zwyczajnie prostą drogą do Warszawy, toć przecie ten zbój, moiściewy, dogoniłby nas w drodze, ledwoby tylko spostrzegł tu ucieczkę naszą.

— Boże, więc cóż począć — jęknęła Laura, myśląc w tej chwili o biednym Cypryanie Krzysiaku, którego losu nie była sama pewna i naraz stanęła jej przed oczyma poprzednia próba ucieczki tak daremna i tak w skutkach fatalna.

— Mam sposób i na to, tylko trzeba nam kołować... pojedziemy przez pruską granicę... Ja mam i tam znajomych na komorze, da się przeszwarcować łatwo... Podróż potrwa trochę długo, ale innej niema rady...

— Wszystko mi jedno, byle raz wyrwać się ze szponów Kosiary i nadal jego sideł uniknąwszy szczęśliwie, dostać się wreszcie do ojca... Niechże pani tedy działa przezornie, a jeszcze raz zapewniam, że zostaniesz sowicie wynagrodzoną.

— Musimy się z tem śpieszyć... Najlepiej będzie wyjechać jeszcze tej nocy.

— Naturalnie, choćby zaraz, o ile niema obawy, żebyśmy się gdzieś nie natknęli na Kosiarę.

— Ślicznie zrobi się wszystko, duszo... Moja w tem głowa, paniusieczko kochana, przecież mi darmo tato dobrodziej pieniędzy dawać nie będzie.

W jakieś pół godziny później Laura Czerska owinięta grubą chustką, z pod której niktby nie

poznał ani jej twarzy ani figury, opuściła swoje nowe więzienie w towarzystwie Pędzikowej, również szalem osłoniętej do niepoznania.

Zaledwie wyszły z domu, stara przystanęła i podobnie, jak przed chwilą z bramy, rozejrzała się na wszystkie strony uważnie, poczem ruszyły w dalszą drogę spokojne.

Szły śpiesznie w milczeniu mijając w mrokach wieczornych przechodniów.

Na drugim chodniku na ich widok przystanęła nagle przechadzająca się przed oświetlonym sklepem młoda kobieta, o bujnych włosach złotych, wytężyła wzrok w ich stronę i z miejsca zawróciwszy, pędem pobiegła przed siebie, roztrącając ludzi.

Pędzikowa jednak podobnie, jak Laura, nie zauważyły tej sceny przelotnej i zakręciły w boczną ulicę.

— Dobrze, duszo, żeśmy już tutaj... teraz jesteśmy bezpieczne.

Skarb.

Ludwik Reman dźwignął się. Pod sobą miał nieruchome ciało barona Goldenthala, a dokoła czarną jaskinię.

— On chciał mnie tu w podziemiach zgładzić ze świata — pomyślał sobie, oprzytomniawszy zupełnie — teraz zmieniły się rzeczy o tyle, że ja mógłbym go dobić, jeżeli jeszcze dyszy...

Wstrząsnął się cały, siadając na stopniu kamiennym.

— Spełniłbym zapewne tylko dobry uczynek, gdybym się o to postarał, by straszny ten człowiek, nie ujrzał więcej nigdy światła dziennego i stąd nie wyszedł nigdy... Ale ja do tego nie zdolny jestem, nie, zabić go... a może on już nie żyje.

Dreszcz przeszedł po ciele Ludwika.

— Niech się dzieje co chce, byle co prędzej wyjść z tego grobu.

I zaczął na czworakach wdrapywać się wśród ciemności pod górę po zimnych stopniach kamiennych.

Wtem natknął się na jakiś przedmiot i nagle doznał wrażenia, jak gdyby prąd elektryczny przebiegł po nim.

To na jednym schodzie leżała owa tajemnicza szkatułka, dla zdobycia której odbył Goldenthal w jego towarzystwie wyprawę w podziemia starej kaplicy zamkowej.

— Kiedy szamocąc się, runęli obaj w przepaść i stoczyli się w piekielnym uścisku na dół, szkatułka zdobyta przez barona, wypadła mu z ręki. Teraz baron leżał od niej daleko, a nie było nic łatwiejszego dla Ludwika, jak przywłaszczyć sobie ten skarb i uciec z nim w świat...

— Wszak i baron tylko przywłaszczył ją sobie, wszak i on zrabował ją tutaj — myślał Reman.

Więc nie wahał się już ani chwili. Zdecydował się na krok stanowczy. Kasetka miała rączkę, to też chociaż była bardzo ciężka, dało się ją nieść dość wygodnie. Idąc z tym ciężarem w ręku, trzymał się teraz poręczy i uważnie wspinał dalej po schodach ku wyjściu.

— Tu, w tej szkatule, znajduje się bez wątpienia tajemnica, która skłoniła barona Goldenthala do małżeństwa z Wandą Rożniewską-Anielską.

. . . .

W godzinę później, drżąc od dotkliwego chłodu, błądził Ludwik Reman po gęstwinie leśnej.

Znużony, przystanął w miejscu, gdzie czuł się zupełnie bezpiecznym i umieściwszy na ziemi pod drzewem ciężką szkatułkę, zabrał się do pracy, jaką uznał za najpilniejszą w tej chwili. Ubranie jego było w takim nieładzie i tak zniszczone skutkiem szamotania się na schodach z baronem, gdy mu śmierć w oczy zaglądała, a zwłaszcza tak było wywalane przez to, że obaj staczali się po kamieniach w przepaść — iż chcąc w razie czego uniknąć podejrzeń, należało przedewszystkiem przyprowadzić do znośnego stanu garderobę. Poszło mu to gładko, poczem z piasku i błota obmył sobie jeszcze ręce w potoczku leśnym — i ruszył w dalszą drogę.

Ale dokąd iść — tego sam nie wiedział.

— Wracać do pałacu Rożniewskich nie sposób. Mógłbym wprawdzie tymczasowo ukryć gdzieś, choćby w lesie zakopać szkatułkę i przyjść do pałacu swobodnie, udając, że nic nie wiem, jakoby baron zaginął... Wyszedłem na przechadzkę, zabłąkałem się trochę w lesie i wracam sobie najspokojniej... Ale jeżeli mnie przypadkiem zobaczył ktoś przedtem, że z zamku wyszedłem do parku nie sam, tylko w towarzystwie Goldenthala... To jedno... Ale nadto znam ja siebie: wystarczyłoby, żeby mnie pytać zaczęto w pałacu, co się mogło stać z baronem, a na pewne od razu wyczytanoby mi z twarzy, iż muszę coś wiedzieć, lecz nie chcę powiedzieć... Toby się wydało im podejrzane... Nie ma innej rady: tam już wracać nie mogę. Trzeba w świat uciekać z tym skarbem.

I począł iść coraz śpieszniej, nie zastanawiając się, dokąd go oczy poniosą.

Szkatułka nie wydawała mu się tak ciężką, jak wprzódy, ponieważ im dłużej rozmyślał nad tajemniczą wyprawą barona Goldenthala, tem większej nabierał pewności, iż dzięki owemu żelaznemu pudełku stał się milionerem.

— Byle wybrnąć z tego lasu!

Tymczasem gęsty bór inflancki ani myślał się kończyć. Nie było widać kresów jego, w którąkolwiek stronę zwracał się Ludwik.

Wreszcie i noc zaskoczyła go w tej puszczy. Strach go ogarnął. Nie przypuszczał, żeby zachodziła obawa napadu jakich rozbójników, ale wyobrażał sobie, że w takich lasach przepastnych może mu grozić niebezpieczeństwo ze strony dzikiego zwierza.



— Moje biedne dziecko, a jakże ty się panienko nazywasz?

Rychło ogarnęły go ciemności zupełne. Ciszy nie przerywało nic dokoła. Wszędzie była pustka, która jeszcze bardziej strachem napełniała młodego kantorowicza łódzkiego.

W takich okolicznościach iść dalej nie można było. Zatrzymał się tedy Reman pod ogromnem starem drzewem. Zbadał je uważnie o ile się dało w mroku i wreszcie zdecydował się wdrapać na nie dla znalezienia sobie chwilowego noclegu.

Wybrał szczęśliwie, gdyż nie tylko udało mu się bez wielkiego trudu wydostać na górę, nie puszczając kasetki z ręki, ale co więcej, na wierzchołku pnia rozłożystego drzewa znalazł w rozgałęzieniu miejsce, tworzące szeroki kosz, gdzie można było od biedy, względnie wygodnie, przesiedzieć kilka godzin.

Wyłamał gałąź w taki sposób, że tuż przy sobie zawiesił, jak na haku, swój nieodstępny skarb cenny — szkatułkę żelazną. Następnie sam usadowił się o ile możności najlepiej i uśmiechnął się zadowolony z tego, że w tak obcych mu okolicznościach mimo braku doświadczenia potrafił sobie radzić sam tak dobrze.

Jeden miał tylko kłopot, że zbyt lekko był ubrany i skutkiem tego trząsł się ciągle z zimna, z głodem bowiem, który mu z początku w lesie dokuczał już mocno, teraz oswoił się już nieco.

Do wschodu słońca godziny wlokły się niemiłosiernie długo. Reman nie mógł zasnąć, tak mu siedzieć było twardo, a zwłaszcza robiło mu się coraz zimniej. Deszcz wisiał w powietrzu. Niebo było zawalone chmurami. Na szczęście wiatr tylko ustał od wieczora.

Zmęczenie jednak wprawiło go w taką senność, że wcale nie wiedział, kiedy zdrzemnął się. Dość, że gdy się ocknął i oczy otwarł, ujrzał w koło siebie dzień jasny, jakkolwiek mimo pogodnego już nieba, nie było znać jeszcze blasku wschodzącego słońca.

Wzrok jego padł przedewszystkiem na miejsce, gdzie z wieczora zawiesił szkatułkę.

Jakież było przerażenie straszne Ludwika, gdy w miejscu tem zobaczył jedynie złamaną gałąź, która służyła mu za hak do rękojeści kasety, ale szkatuły nie zostało ani śladu.

Przetarł sobie oczy, bo mu się wydało przez chwilę, iż to tylko sen tak przykry, jak zmora trapi go i trwoży. Jednakowoż przekonał się rychło, iż brak wielkiego skarbu jest niestety rzeczywistością na jawie,

Teraz trząsł się już nie z zimna, a ze złości.

Chciał dostać się coprędzej z drzewa na ziemię, ale całe ciało tak mu ścierpło, że musiał je długo rozcierać, zanim zdołał zsunąć się po starym pniu na dół.

Rozejrzał się na ziemi, z trudem prostując skostniałe członki.

W zaroślach były wyraźne ślady nóg ludzkich, które niedawno potratowały tutaj roślinność.

— Ba, alež to ja przecież mogłem i musiałem sam połamać te gałązki w nocy, kiedy wspinałem się na drzewo... Możliwe, że to tylko moje ślady. Ale w takim razie, jeżeli nie było tu nikogo innego, gdzież zatem podziała się szkatułka... Skoro nie było innego prócz mnie człowieka, toć chyba zwierz leśny nie mógł mi odebrać żelaznej kasetki, zostawiając mnie w spokoju na drzewie...

Nachylił się i jął przeszukiwać krzaki. Wszystko było napróżno.

Zrozpaczony i wściekły zarazem usiadł pod drzewem, w całem ciele bowiem doznał naraz wrażenia zupełnego wycieńczenia i już nie mógł dłużej utrzymać się na nogach. Głód robił swoje...

Aż naraz rzucił się Ludwik w bok, jak oszalały, twarzą do ziemi. Oburącz przyciskał coś do piersi, szlochając głośno...

To był jego skarb odzyskany niespodziewanie.

To była owa szkatułka żelazna, która swoim ciężarem musiała, po paru godzinach wiszenia, przegiąć nieco gałąź złamaną i ześlizgnąwszy się z niej, spadła między zarośla — budząc hałasem druzgotanych odrośli drzemiącego na drzewie Remana - i zaryła się w ziemię wśród mchów.

Gdyby ojciec zrezygnowany stratą dziecka ukochanego, odnalazł je nagle przypadkiem — radość jego nie byłaby się okazała mniejszą, aniżeli wybuch szczęścia Ludwika Remana, gdy ten odzyskał skarb, już za przepadły przez chwilę uważany...

Zrozumiał teraz, iż dotychczas jeszcze nie groziło mu wcale niebezpieczeństwo, iż nikt go nie śledził i nikt nie wpadł na jego ślady... Ale właśnie przy tej okazyi przyszło mu na myśl, że zachodzi jednak możliwość pogoni za uciekinierem. Wobec tego należy śpieszyć się z ucieczką z puszczy leśnej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Złote gody: W Krakowie w kościele OO. Reformatów, O. Kornel udzielił w dniu 20 maja br. solennego błogosławieństwa pp. Wilhelmowi i Annie z Jelińskich Szymańskim, b. właścicielom Soboszowa w gubernii Kieleckiej, z okazyi 50 rocznicy ich ślubów małżeńskich. Jubilatom, dość krzepkim pomimo podeszłego wieku, towarzyszył liczny zastęp dzieci i wnuków, oraz przyjaciół i znajomych.

Opera amatorska.

Aktualnym tematem do rozmów całej inteligentnej Warszawy, jest między innemi opera amatorska, którą zainicyował prof. Witold Sawicki, wiceprezes modnego — że tak powiemy — w tej chwili „Wydziału dochodów niestałych“ warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Przedstawienia odbywają się właśnie na dochód tej pożytecznej instytucyi (wyszukiwania pracy dla ubogich), mają zatem cel jak najsympatyczniejszy. Udział w tem chwalebnem przedsięwzięciu wzięły koła najlepszej inteligencyi, które dostarczyły wybornych amatorów-śpiewaków, zarówno na solistów, jakoteż na chóry. Pod dyrekcyą prof. Opieńskiego i reżyseryą Kawalskiego odśpiewano jak najpoprawniej w teatrze Letnim w ogrodzie Saskim, po raz pierwszy w Warszawie, operę Józefa Verdiego (słowa Commeuda w tłomaczeniu A. Krzyżanowskiej) p. t.: „Ludwika Miller“ czyli „Intryga i Miłość“ (rzecz dzieje się w Tyrolu w XVII. wieku).

Załączamy fotografię znanego zakładu warszawskiego Czesława Kulewskiego, przedstawiającą scenę z aktu drugiego, w której występują pp.: Helena Wichlińska (ks. Fryderyka), Korab Brzozowski (hr. Walter), Mroczkowska (Ludwika Miller) i Witold Szeller (Wurm).

Naród karłów.

W panopticum berlińskiem znajduje się obecnie 6 karłów, którzy stanowią dla całego Berlina niemałą sensacyę. Karły te, z których dwie kobiety i czterech mężczyzn, sprowadzone zostały ze środkowej Afryki, z tych stepów i puszcz, osłoniętych jeszcze tajemniczą zasłoną, do dziś dnia niezbadanych, z ziemi, na której żyją całe plemiona karłów.

W starożytności już mówiono i pisano o pigmejach afrykańskich. Homer i Hezyod, Herodot i Pliniusz wspominali o nich niejednokrotnie w swoich dziełach, ale jeszcze przed kilku dziesiątkami lat uważano te podania starożytnych za baśnie, którymi się w wolnych chwilach bawiono. Pospolicie mniemano, że pigmeje to nic innego, jeno zwykłe karły, znachodzące się wśród ras ludzi zupełnie dojrzałych, ale nie śniło się nawet nikomu przypuszczać, że w Afryce środkowej żyją całe plemiona karłów, ludzi, których wzrost wynosi najwyżej 1 metr 32 ctm.



Opera amatorska: Organizator przedstawień opery „Ludwika Miller“ w Warszawie, prof. Witold Sawicki, wiceprezes wydziału dochodów niestałych Towarzystwa Dobroczynności.

Wiadomość tę przywiózł do Europy znany badacz Afryki środkowej, Schweinfurth. Stwierdził on, że kontynent Afrykański ukrywa w głębiach dziewiczych lasów i bezmiernych łąk całe plemiona karle, które absolutnie nie przerastają nigdy wyżej nad 130 ctm wysokości. Twierdzenie to



Zdjęcie fot. Cz. Kulewskiego.

Opera amatorska: Przedstawienie amatorskie opery Verdiego „Ludwika Miller“ (Intryga i miłość) w Warszawie; scena z II aktu: soliści od lewej ku prawej: Helena Wichlińska w roli ks. Fryderyki; Korab Brzozowski w roli hr. Waltera; Mroczkowska w roli Ludwiki Miller; Witold Szeller w roli Wurma.

rzuciło nowe światło na podania starożytnych o karłach afrykańskich. Przekonano się, że ani Homer, ani Hezyod, ani Herodot nie fantazyowali, ale że mieli realne podstawy do tego, co pisali i potomnych przekazali pamięci, przekonano się, że rzeczywiście istnieją w Afryce plemiona, które Herodot nazwał „pigmejami“.

Od roku 1870, od czasu odkryć Schweinfurtha, badania Afryki środkowej posuwały się z każdym rokiem naprzód, z każdym rokiem też dowiadywano się czegoś nowego o karlich plemionach, stwierdzano coraz bardziej fakt, że pigmeje istnieją. W roku 1893 przywiózł do Europy Stuhlman pierwszych rzeczywistych pigmejów.

Grupa pigmejów, pokazywana obecnie w panopticum berlińskiem, pochodzi z tychsamych okolic, z których pochodzili pigmeje, przywiezieni przez Stuhlmana, mianowicie z dziewiczych lasów północnej części Konga. Jak widać na załączonej obok illustracyi, są to ludzie zupełnie dojrzali, rozwinięci, a jednak karły. Wysokość kobiet wynosi przeciętnie 130 ctm, mężczyzn 132 ctm. Że to są dobrzy i typowi przedstawiciele swego plemienia, to nie ulega wątpliwości. Pokazywano ich już poprzednio w Londynie, gdzie się nimi specyalnie zajęła grupa uczonych antropologów, którzy na nich przeprowadzali swoje badania, dla antropologii ogromnie ważne. A trzeba dodać, że badać ich jest rzeczą ogromnie trudną, bo są to stworzenia tchórzliwe, wietrzące w każdym Europejczyku złego ducha. Nie można więc było do dziś dnia zrobić dokładnego pomiaru ich głów i członków. Czego jednak nie dokonali dżentelmeńscy uczeni Albionu, tego prawdopodobnie dokonają pedantyczni uczeni niemieccy. Oni nie darują sobie sposobności, aby przeprowadzić na nich potrzebne im do dalszych badań wymiary. W Berlinie zabrali się do pigmejów nietylko antropolodzy, ale i lingwiści, którzy, na razie, obiecują sobie bardzo wiele po tych karzełkach, mają bowiem zamiar zbadać dokładnie ich język. Czy im się to uda — niewiadomo. Bo pigmeje nie dowierzają białym i lubią milczeć.

Poświęcenie sztandaru straży pożarnej w Krowodrzy.

W ubiegłą niedzielę odbyło się w Krowodrzy pod Krakowem uroczyste poświęcenie sztandaru ochotniczej straży pożarnej. Straż ta, mająca za sobą bardzo ładną przeszłość, istnieje w Krowodrzy już od lat trzydziestu; aby więc uczcić rocznicę założenia, obecny naczelnik straży p. Stanisław Chwastek, oraz syn jego, łącznie z zastępcą naczelnika p. Ignacym Zbroją, dołożyli wszelkich starań, aby dla straży sprawić sztandar, około którego grupowałaby się dzielna strażacka drużyna. Usiłowania ich odniosły skutek, sztandar sprawiono, a w niedzielę odbyło się jego poświęcenie.

Charakterystyczną jest rzeczą, że naczelnik gminy Krowodrza, p. Adam Zbroja, z niewytłómaczonych powodów nie wziął udziału w tej, całą gminę tak obchodzącej uroczystości. Wywołało to wśród zgromadzonych oburzenie, któremn silny wyraz dali mowcy w swych przemówieniach.



Naród karłów: Grupa pigmejów, przywiezionych do Berlina z dziewiczych lasów północnej części Konga, typowych przedstawicieli afrykańskich karłów; wzrost mężczyzn 130 ctm, kobiet 132 ctm.

Uroczystość ta zgromadziła w Krowodrzy mnóstwo gości. Po nabożeństwie i wbiciu gwoździ do sztandaru, przemówił do zebranych p. Staszczyk, potem p. Adam Zakrzowiecki, wreszcie znany włościanin, Franciszek Ptak z Bieńczyc, który w ciepłych słowach podniósł zasługi naczelnika p. Chwastka około podniesienia i rozwoju straży, tak w Krowodrzy potrzebnej i tak pożyteczną rozwijającej działalność.

Załączona obok illustracya, przedstawia fotografię straży pożarnej w Krowodrzy ze sztandarem w otoczeniu gości, przybyłych na uroczystość. Fotografia ta została zdjętą specyalnie dla naszego pisma przez p. E. Pierzchalskiego w kilka chwil po poświęceniu sztandaru.



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustr.“ Edward Pierzchalski w Krakowie.

Poświęcenie sztandaru straży pożarnej w Krowodrzy: Straż ogniowa krowoderska z nowym swym sztandarem w otoczeniu gości, przybyłych na uroczystość.

Zbrodnia Łodzianina w Dębnikach.

Widownią nowej i niemniej od poprzednich ohydnej zbrodni na tle seksualnem były przed tygodniem pola nad Wisłą w Dębnikach. Tylko tymrazem sprawa nie jest już tajemniczą, gdyż sprawca zbrodni dokonanej na czteroletniej dziewczynce znajduje się w rękach policyi, wobec której nawet przyznał się do winy. Podajemy dziś jego fotografię, przytaczając szczegóły wypadku, który tyle wrzawy narobił w gminach podmiejskich Krakowa i stał się nowym postrachem dla matek nieletnich córek nad brzegiem Wisły. Rzecz miała się jak następuje: Woźny magistratu Kazimierz Kalasiewicz wybrał się do Dębnik z żoną i 4-letnią córeczką Marynią. Po drodze zrobił z nimi z rozmysłu nową znajomość niejaki Teodor Hojnacki, czeladnik ślusarski z Łodzi, który przeniósłszy się



Zbrodnia Łodzianina w Dębnikah: Slusarz Teodor Hojnacki z Łodzi, który w Dębnikach pod Krakowem zakaził chorobą weneryczną 4-letnią dziewczynkę.

w ostatnich czasach do Krakowa, mieszkał na Grzegórzkach, a nie mając zajęcia, żył z datków dobroczynnych komitetów pomocy dla emigrantów. Hojnacki towarzyszył w przechadzce Kalasiewiczom po Dębnikach opodal brzegu Wisły. Tu ojciec zostawił na chwilę żonę z córką w jego towarzystwie, a sam wstąpił do kolegi. Kiedy Hojnacki udał się niby to do pobliskiej trafiki, dziecko, zostawiwszy matkę samą, pobiegło za nim, zwabione obietnicą dostania ciasteczek... Zniknęli oboje. Po trzech godzinach daremnego oczekiwania na ich powrót, udali się zdesperowani rodzice do domu na ul. Basztową, dokąd późnym wieczorem przywiózł tramwajem Hojnacki ich córkę, przepraszając, że jako obcy, zabłądził nad Wisłą, biegając z dzieckiem. Marynia zaraz zasnęła. Aż po 3 dniach zaczęła się skarżyć na różne bóle, których przyczyny nie mogąc sobie wyjaśnić, ojciec zaprowadził dziewczynkę do lekarza. Ten z przerażeniem stwierdził, że 4-letnie dziecko zostało świeżo shańbione i zakażone chorobą weneryczną. W myśl wskazówek rodziców, policya aresztowała owego Hojnackiego, który przyznał się do popełnienia ohydnego gwałtu i co więcej, zeznał, iż wiedział o swej chorobie. Naturalnie odstawiono potwornego zbrodniarza — zaiste człowieka-zwierzę — do więzienia

Kurs pielęgnowania chorych we Lwowie.

Z inicyatywy sekcyi sanitarnej rady miasta Lwowa, urządził fizykat miejski trzymiesięczny



Pierwszy kurs pielęgnowania chorych we Lwowie: Grupa uczestników, z okazyi zamknięcia kursu, zdjęta przez Marka Münza dla „Nowości Illustrowanych“.

kurs pielęgnowania chorych. Znaczenie takiego kursu jest bardzo duże, brak bowiem osób, umiejących się obchodzić z chorymi, jest w naszem społeczeństwie bardzo dotkliwym. Szkoda też, że na kurs ten zapisała się niewielka stosunkowo ilość uczniów, bo niespełna dwadzieścia osób, w tem dwu mężczyzn. Rezultaty nauki, którą kierowali fizyk Lwowa dr. Legeżyński i lekarz miejski dr. Kielanowski, są zupełnie zadawalniające. Okazał to dowodnie publiczny egzamin, który odbył się przed tygodniem w sali ratuszowej, wobec protomedyka dr. Merunowicza i grona zaproszonych lekarzy, członków rady miejskiej, dziennikarzy itd. Odpowiedzi uczniów na zapytania świadczyły o dokładnej znajomości przebiegu chorób, ich objawów, dalej o znajomości sposobów obchodzenia się z chorymi stosownie do rodzaju choroby, o znajomości najważniejszych zasad hygieny i somatologii. Wszystkim egzaminowanym wydano odpowiednie świadectwa.

Nauka na kursie, o którym mówimy, była teoretyczną i praktyczną. Teoryę wykładali — jak wspomnieliśmy — dr. Legeżyński i dr. Kielanowski, ćwiczeniami praktycznemi zaś kierowali prymaryusze i dyrektorowie szpitali, w których ćwiczenia te przez półtora miesiąca się odbywały.



Wyścigi cyklistów i motorów we Lwowie: Drużyna lwowska: 1. Franciszek Pintscher, zdobywca 4 pierwszych nagród; 2. Grzegorz Buscut, zdobywca 3 pierwszych nagród.



Wyścigi cyklistów i motorów we Lwowie: Drużyna jarosławska: oznaczony (X) Farbowski, zdobywca pierwszej nagrody.

Wyścigi cyklistów i motorów we Lwowie.

Pierwsze w tym roku wyścigi cyklistów i motorów we Lwowie, powiodły się nadzwyczaj dobrze. Publiczność lwowska interesuje się coraz więcej tym pięknym sportem i zapełniła nowo zbudowane na torze klubu cyklistów trybuny do ostatniego miejsca, tłumnie również otoczyła cały tor.

Także udział cyklistów był dość duży, głównie dzięki drużynie jarosławskiej, która w liczbie 16 członków przybyła na swych maszynach z Jarosławia do Lwowa i stanęła mimo męczącej, w kilku godzinach przebytej tury, do zawodów z lwowskimi cyklistami.

Biegów było ogółem sześć, z czego dwa motorów. W biegach cyklistów najlepszym jeźdzcem okazał się p. Pintscher, który też najwięcej zdobył nagród. Interesujące były również biegi motorów. Tu palmę pierwszeństwa zdobył porucznik „Zgoda“ (pseud.) z Przemyśla, którego brawurowa a nadzwyczaj pewna jazda, w podziw wprawiła widzów. Wcale dobrym jeźdźcem okazał się także p. Szybowicz z Przemyśla, który na maszynie p. Witołda Trandy, właściciela zakładu elektro-technicznego, (Laurin et Klement 3 i pół H. P). zdobył dwukrotnie drugie miejsce.



Mogą spać spokojnie: Henryk Olszewski, nowy naczelnik miejskiej straży pożarnej w Przemyślu.

Mogą spać spokojnie.

Prawie w przeciągu jednego roku — pierwsze trzy miasta galicyjskie: Kraków, Lwów i Przemyśl wybrały sobie z biegiem okoliczności nowych naczelników miejskich straż pożarnych. Zamieściły już „Nowości“ podobizny pp.: Nowotnego Feliksa z Krakowa i Żytnego Józefa ze Lwowa; dziś podajemy nowo-mianowanego naczelnikiem miejskiej straży pożarnej w Przemyślu pana Henryka Olszewskiego. Krakowianin, syn śp. Bronisława Olszewskiego, dyrektora szkół w Krakowie — uczęszczał do gimn. św. Jacka, a następnie poświęcał się służbie kolejowej. Od roku 1885 okazywał już zdolności i wielkie zamiłowanie na polu pożarnictwa. Nie było większego pożaru w Galicyi, do któregoby ten dzielny strażak-ochotnik nie śpieszył z energiczną z pomocą. Na szpaltach dzienników bardzo często czytaliśmy jego nazwisko, że w tej pięknej służbie zawsze się świetnie odznaczał. Rada miasta Przemyśla uznając istotnie wielkie zasługi oddane przez niego społeczeństwu, a zarazem uwzględniając wykształcenie fachowe, kilkanaście dyplomów za umiejętne i energiczne kierownictwo w znacznych pożarach — w lutym b. r. mianowała jednogłośnie pana Olszewskiego naczelnikiem miejskiej straży pożarnej. Prócz portretu naczelnika — podajemy podobiznę korpusu miejskiej straży pożarnej. Nie brak tam dzielnych wiarusów pożarniczych, jak pp.: Stojakowski, sierżant (Krakowianin), Baczyński, jubilat, Chornin, Nydza i wielu innych świetnie zapisanych w kronikach pożarów Przemyśla. Dziś ta straż przemyska zaopatrzona lepiej od lwowskiej w przybory pożarnicze, należy do pierwszorzędnych w naszym kraju. To też mieszkańcy przemyskiego grodu mogą spać spokojnie, mając tak dzielną straż pod wodzą znakomitego kierownika.



Mogą spać spokojnie: Straż ogniowa miejska w Przemyślu.

Kursa strażackie.

W Jarosławiu odbył się przed tygodniem teoretyczny i praktyczny kurs na instruktorów straży pożarnych Kółek rolniczych w powiecie jarosławskim. Wynik kursu był zupełnie zadowalający, a rzeczą zbyteczną dodawać, jak wielkie korzyści odnosi z tego rodzaju kursów kraj nasz, tak często niszczony klęskami pożarów po wsiach i małych miasteczkach. Uczestników ostatniego kursu jarosławskiego przedstawia nasza rycina. Na fotografii widzimy też instruktorów krajowego Związku ochotniczych straży pożarnych ze Lwowa, A. Szczerbowskiego i K. Różyczkę, którzy kurs ten przeprowadzili w Jarosławiu. Pośrodku grupy zasiadają nadto: książę Jerzy Czartoryski, prezes Zarządu Kółek rolniczych w Jarosławiu, dr. Dulęba, delegat głównego Zarządu Kółek ze Lwowa, dr. A. Dietzius, burmistrz jarosławski, dr. W. Grabowski, prezes miejscowego „Sokoła“, N. Dąbrowski, sekretarz Zarządu Kółek, oraz W. Ziembowicz, naczelnik miejskiej straży pożarnej w Jarosławiu.

* * *

Zdjęcia fotograficznego dla „Nowości Illustrowanych“ dokonano 9 b. m. po zamknięciu kursu.



Kursa strażackie: Grupa uczestników kursu na instruktorów straży pożarnych Kółek rolniczych w pow. jarosławskim. (Fot. Rosenblüth w Jarosławiu).

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

14 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

— Do usług, pani hrabino! — odparł Stein, a widząc, że hrabina nie chce zacząć mówić, obawiając się widocznie Paulsena, dodał:

— Oto mój zaufany przyjaciel i kolega, pan Paulsen. Może mu pani tak samo ufać, jak mnie samemu. Ale proszę, niech pani usiądzie przy kominku, niech się pani rozbierze. Pozwoli pani, że każę jej przynieść szklankę herbaty? Ależ pani aż drży, jak widzę.

— Tak, drżę, ale nie ze zimna! — odparła Erna, trzęsąc się cała formalnie.

— Cóż się stało?

— Drżę z trwogi — przed tajemniczem niebezpieczeństwem.

Obaj mężczyźni zauważyli, że hrabina jest czemś nadzwyczajnie wzruszona. Twarz miała bladą jak płótno, wzrok na pół obłąkany. Takim wzrokiem patrzy młoda sarna, spłoszona z pastwiska, widząc przed sobą strzelby myśliwych i nie mogąc ze znużenia szukać już więcej ratunku. Stein zmierzył ją badawczym wzrokiem.

— Niech się pani niczego nie obawia — uspakajał ją, widząc, że prawie siedzieć nie może ze strachu. — Teraz jesteś pani pod moją opieką, a ja już postaram się o to, aby wszystko było w porządku. Ale proszę, niechże mi pani powie, co panią właściwie do mnie sprowadza?

I Erna zaczęła. Opowiedziała detektywom wszystko, od dnia jej ślubu, aż do tej nocy, w której usłyszała ów dziwny gwizd i syczenie. Detektywi słuchali jak marmurowe posągi, nie ruszając się wcale, nie przerywając jej ani na chwilę, aby nie stracić najdrobniejszego słówka. Następnie Stein rozpoczął przesłuchanie. Głos jego drżał od wewnętrznego wzruszenia.

— Sprawa to nadzwyczajnie zagadkowa — kończył. — Chciałbym się jeszcze zapytać o szereg drobnych szczegółów, któreby mi pozwoliły wysnuć odpowiednie wnioski co do mojego dalszego postępowania. Jeżeli jutro rano pojedziemy do Schleinitz, czy się to da zrobić, abyśmy bez wiedzy małżonka pani, a zwłaszcza bez wiedzy starego profesora, mogli zwiedzić zamek?

— Owszem, to się nawet bardzo dobrze składa; mąż mój wyjechał dzisiaj razem ze szwagrową do miasta, a profesora także niema w zamku.

— Znakomicie! — zawołał Stein, a zwracając się do przyjaciela, dodał: — Nie miałbyś ochoty pojechać tam ze mną, kolego?

— Z największą przyjemnością! — odparł Paulsen, a oczy mu błyszczały gorączkowo.

— W takim razie jutro obydwaj znajdziemy się w Schleinitz. Ale cóż pani będzie robić dziś wieczór, pani hrabino?

— Przenocuję w jakim hotelu.

— Gdyby się pani na to zgodziła, to mogłaby pani zostać w tym domu; moja gospodyni ma właśnie pokój do wynajęcia i z chęcią by go pani na jedną noc odstąpiła. Radziłbym pani, by pani tu została. Dlaczego? zechce pani zapytać? Niech pani mi wierzy, że to będzie dobrze dla pani.

— Zrobię wszystko, co pan zechcesz i poddaję się najzupełniej pańskim radom!

Za chwilę Erna była już w swoim pokoju i udała się zaraz na spoczynek, odetchnąwszy nareszcie z ulgą po tylu dniach niepokoju.

— No, cóż ty o tem sądzisz? — zapytał Stein Paulsena, nie mogąc pokonać wzruszenia, jakie go owładnęło.

— Ciemna to i niebezpieczna historya — odparł Paulsen.

— W każdym razie ciemna i tajemnicza — powiadam ci, to wielka zbrodnia, planowana przeciw pięknej hrabinie.

Obaj detektywi rozmawiali jeszcze długo głównie o ostatnich poleceniach zmarłej radczyni Solms. Nie mogli pojąć, dlaczego umierającej staruszce tak zależało na tem, aby właśnie najmłodsza jej córka poślubiła hrabiego Pardue.

— No, zobaczymy, jak się to wszystko ze sobą wiąże — rzekł Stein. — Jutro rano jedziemy do Scheinitz.

ROZDZIAŁ XXIV.

O północy w zamku Schleinitz.

Na drugi dzień rano rzekł Stein do Paulsena:

— Jeśli już gotów, to chodźmy; weź ze sobą rewolwer, czasami jest to narzędzie niezbędne. Hrabina Pardua prawdopodobnie również przybędzie do Schleinitz. Sądzę więc, że możemy już teraz zacząć naszą misyę.

Przybywszy na małą stacyjkę wynajęli wózek i kazali się zawieść do zamku. Stein siedział zamyślony, nie podnosząc prawie oczu. Kapelusz nasadził głęboko na czoło i dumał. Naraz przerwał milczenie i rzekł do Paulsena:

— Patrzajno!

Z pośród świeżej zieleni, w obramieniu wspaniałego parku, wznosił się pyszny zamek, prując szczytami gotyckich prawie wieżyczek sine błękity wiosennego nieba.

— Czy to zamek Schleinitz? — zapytał woźnicy.

— Tak, panie, to zamek Schleinitz — odparł, zacinając konie.

— Otóż to cel naszej podróży! — szepnął Paulsen, wytężając wzrok.

— Tam, w dole, leży wieś — ciągnął dalej woźnica, wskazując na kilka chałup, ledwie wychylających się z pośród zieleni sadów. — Jeżeli się jednak panom spieszy, to najlepiej panowie zrobicie, jeśli wysiądziecie i ścieżką udacie się ku zamkowi, o, tam, gdzie ta pani idzie.

— Ta pani, zdaje mi się, to hrabina Erna — zauważył Stein, przykładając rękę do oczu, aby lepiej widzieć. — Tak jest, zdaje mi się, że dobrze zrobimy, jeśli pójdziemy za radą woźnicy.

Wysiedli, zapłacili za jazdę i puścili się ścieżką przez pola.

— Uważałem za stosowne powiedzieć temu woźnicy, żeśmy przyjechali jedynie dla zbadania budowy zamku — rzekł Stein — trzeba się bowiem było zabezpieczyć przed ludzką ciekawością. — Dzień dobry, pani hrabino, widzi pani, że dotrzymujemy słowa.

Serdecznie ucieszona Erna przystanęła i wyciągła ręce na powitanie.

— Tak panów oczekiwałam niecierpliwie! — rzekła, ściskając im dłonie.

Poszli razem do zamku, aby zobaczyć komnaty. Detektyw oglądnął przedewszystkiem skrupulatnie okna pokoi, które go najbardziej interesowały.

— To okno jest w pokoju, w którym pani poprzednio miała sypialnię? Środkowe w tym, w którym mieszkała Kazia, a trzecie należy do komnaty, zajmowanej przez tajemniczego profesora, o którym nam pani opowiadała?

— Tak jest! — odparła Erna — ale na razie śpię w pokoju środkowym, w tym, w którym Kazia umarła.

— Prawdopodobnie dlatego, że po zewnętrznej stronie zamku prowadzą jakąś budowę, bo zresztą nie rozumiem, poco by tu były ustawione te murarskie przyrządy. Przecież, o ile widzę, zamek nie wymaga jeszcze reparacyi.

— Prawdę powiedziawszy, to i ja nie wiem, co oni na tym murze chcą robić; zdaje mi się, że wogóle po to tylko rozpoczęto robotę, aby mnie zmusić do opuszczenia mojej sypialni i przeniesienia się do pokoju, w którym umarła Kazia. I ta myśl właśnie mnie dręczy.

Stein oglądał skrupulatnie wszystko, co tylko było w pokoju. Otwierał i zamykał okna, próbując, czy wszystko w porządku. Najmniejszy szczegół nie uszedł jego uwagi.

— Hm — myślał, szarpiąc niecierpliwie brodę — jakoś nie mogę wpaść na trop. Gdyby okiennice były zamknięte, to do komnaty nikt się nie dostanie. Ale, szukajmy dalej, zobaczymy.

Drzwi z komnaty prowadziły na mały, malowidłami ozdobiony kurytarzyk, na który wychodziły również drzwi wszystkich trzech pokojów. Udali się więc do środkowego, do obecnej sypialni Erny, w której niedawno Kazia w taki tajemniczy sposób i tak nagle umarła. Był to milutki mały pokoik z wielkim kominkiem, pamiętającym jeszcze dawne, średniowieczne czasy W jednym rogu stała komoda, w stylu rokoko, w drugim szerokie, wygodne łóżko; przy oknie stół i kilka starych, antycznych foteli dopełniało umeblowania. Ściany dębowe, niegdyś białe, zczerniały zupełnie i nadawały sypialni żałobny, nieprzyjemny ton.

Stein przysunął sobie stołek i stanąwszy na nim, zaczął skrupulatnie badać ścianę, zwłaszcza tę, która sypialnię oddzielała od pokoju profesora. Erna i Paulsen milczeli, śledząc tylko oczyma każdy jego ruch. Chcąc przerwać milczenie, ozwał się wreszcie Stein:

— Nie wie pani przypadkiem, od jak dawna pan mąż pani tego starego profesora?

— Zdaje mi się, że się znają dopiero od pół roku — odparła Erna.

— No, no, no, to za wielka życzliwość, jak na tak krótką stosunkowo znajomość — rzekł Stein i znowu zaczął badanie. Opukał ściany, zbadał z pomocą lupy podłogę, meble, nareszcie doszedł do łóżka i długo je obserwował, nie spuszczając wzroku ze ściany.

— To ciekawe — szeptał. — Urządzenie tego pokoju daje rzeczywiście do myślenia. Naprzykład, co za dureń musiałby być budowniczy, gdyby wentylator wpuszczał w ścianę, graniczącą z drugim pokojem, kiedy ma pod nosem ścianę, wychodzącą na pole. A przecież tu jest wentylator prawie nad łóżkiem!

— Tak, ale pochodzi on już z czasów nowszych — zauważyła Erna.

— Za pozwoleniem, łaskawa pani, możebyśmy przeszli do pokoju profesora.

Zgodziła się. Była to komnata znacznie większa, ale również skromnie umeblowana. Zwyczajne łóżko żelazne, półka na książki, po większej części lekarskie, duży fotel przy stole, zarzuconym papierami i wielka żelazna szafa — oto było wszystko, co wpadło im w oczy przy wejściu.

Stein przeszedł powoli ku oknu, nie spuszczając uwagi z żadnego przedmiotu, obserwując wszystko jak najskrupulatniej. Stanąwszy przy szafie, zapytał nagle:

— Cóż tu jest? — i zaczął pukać po żelazie.

— Prawdopodobnie manuskrypty, tak mi przynajmniej mówiono — odparła Erna.

— Więc pani tu nigdy nie zaglądała?

— Raz tylko zaglądnęłam, ale to już dawno. Było to właśnie wtedy, kiedy profesor razem z moim mężem i ze szwagrową wyjechali, a zapomnieli szafę zamknąć.

— Jest tam może jakie zwierzę, może kot, w tej szafie?

— Nie, nic o tem nie wiem. Ale skąd to panu na myśl przyszło?

— Proszę się przypatrzeć — rzekł detektyw, podnosząc mały spodeczek, na którym było mleko, stojący na szafie.

— Nie, u nas niema kotów.

— Teraz muszę się upewnić — rzekł Stein. Klęknął i zaczął z lupą przy oku badać fotel.

— Dziękuję — już wiem! — ozwał się w końcu, podnosząc się i chowając lupę do kieszeni. — Czy pan profesor jest teraz w zamku?

— Nie, pojechał do miasta i wróci dopiero wieczór — odparła Erna.

— No, zdaje mi się, że widziałem tu dosyć, łaskawa pani, i jeśli pani pozwoli, to możemy stąd wyjść do sypialni pani — rzekł, zwracając się do Erny.

Paulsen nie spuszczał oczu ze Steina. Zdawało mu się, że nigdy nie widział go tak wzruszonego, z taką zafrasowaną miną i z takiemi błyszczącemi oczyma, jak w chwili, kiedy wychodzili z miejsca swoich badań. Wyszli w milczeniu na dziedziniec, bo ani Paulsen, ani Erna nie chcieli przerywać myśli detektywowi. Dopiero na polu Stein ocknął się z zamyślenia i rzekł:

— Byłoby bardzo pożądanem, pani hrabino, aby pani co do joty wypełniała moje wskazówki pod każdym względem.

— Zrobię to bezwątpienia.

— Życie pani zawisło jedynie od tego, czy mi pani będzie posłuszną, czy nie. Sprawa cała jest zresztą zbyt poważna, aby ją można było lekko traktować.

— Oddaję się zupełnie w pańskie ręce i zrobię wszystko, co pan zechcesz, możesz pan być pewny.

— Przedewszystkiem muszę razem z moim kolegą przepędzić noc w sypialni pani.

Erna i Paulsen spojrzeli na niego zdumieni.

— Rozumiem zdziwienie pani, ale tak być musi — rzekł Stein z naciskiem. — Zaraz się pani bliżej wytłómaczę. Nie prawdaż, tam na górce, znajduje się karczma?

— Tak jest — karczma „pod kogutkiem“.

— Ślicznie. Czy stamtąd widać okna paninej sypialni?

— A pewnie — odparła hrabina.

— Wobec tego, łaskawa pani, proszę bardzo, niech pani spełni wszystko, co pani powiem, ale jak najdokładniej wszystko. Zatem — jak profesor wróci z miasta, niech pani z nim nie mówi, ale pod pozorem, że panią głowa boli, niech pani się uda do swego pokoju. Jak tylko pani usłyszy, że profesor położył się spać, niech pani okiennice otworzy, a zatrzaśnie rygle u drzwi. Potem, niech pani, jako znak dla nas, zapali na oknie lampę i niech się pani uda do swej sypialni. Prawdopodobnie będzie pani mogła w niej spać, pomimo, że około jej murów rozpoczęto robotę?

— Naturalnie, zrobię to wszystko — odparła Erna.

— Resztę niech pani nam zostawi; tylko niech się pani nie przestrasza żadnego szmeru, jakiby pani ewentualnie mogła usłyszeć. Ale niech pani pod żadnym warunkiem nie opuszcza pokoju wcześniej, aż my przyjdziemy.

— Cóż panowie zamierzacie?

— Przepędzimy noc w pokoju pani, aby zbadać ten syk i gwizdanie, które panią tak przestrasza.

— Zdaje mi się, panie Stein, że pan sobie już wytworzył zdanie — rzekła Erna, biorąc za rękę detektywa.

— Może być — odparł Stein.

— W takim razie powiedz mi pan, na miłość Boską, kto winien śmierci nieszczęsnego dziewczęcia?

— Muszę mieć pewniejsze dowody w ręku, jeślibym chciał o tem mówić.

— To może mi pan przynajmniej powie, czy biedaczka zmarła naturalną śmiercią, czy też sprawdza się moje przypuszczenie, że uległa nagłemu przestrachowi?

— W to wątpię. Wedle mego przeświadczenia rzecz miała się inaczej. A teraz, łaskawa pani, musimy panią zostawić samą, bo gdyby profesor wrócił i zobaczył nas tutaj, cała nasza wyprawa nie zdałaby się na nic. Na razie więc żegnam panią. Niech pani nie traci odwagi, bo mogę panią zapewnić, że jeśli pani zastosuje się w zupełności do moich rad, to unikniemy wszelkich grożących pani niebezpieczeństw, które są może o wiele większe, aniżeli pani przypuszcza.

Obaj detektywi pożegnali się i poszli do karczmy. Tam usiedli przy oknie, wychodzącem na zamek, na to skrzydło zamkowe, w którem mieściło się mieszkanie starego profesora. Zmrok już zapadł, a oni nie ruszyli się od okna. Naraz Stein trącił kolegę w bok.

— Przyjechał — ozwał się szeptem.

— Kto?

— No, stary profesor.

Rzeczywiście z mroku wyłaniał się powoli wózek, na którym jechał profesor. Dojechawszy do bramy zamkowej, widocznie starowina się uniósł, bo zaczął groźnie wymachiwać rękami nad głową chłopaka, który go przywiózł. Wreszcie otwarto żelazną bramę i wózek wjechał w dziedziniec zamkowy.

W kilka chwil później w jednem z okien zamkowych zabłysło światło.

— Wiesz co, Paulsenie — ozwał się Stein — niepokoi mnie to trochę, że masz dzisiaj iść razem ze mną do zamku; przecież ty masz żonę i dziecko. Sprawa nie jest bezpieczna, możesz mi wierzyć, a nawet możliwe jest, że mogą zajść rzeczy najgorsze.

— Ależ proszę cię, o ile ci się tylko mogę przydać, to rzecz naturalna, że zostanę z tobą.

— Obecność twoja może mieć nieocenioną wartość.

— W takim razie stanowczo idę z tobą.

— Dziękuję ci, to prawdziwie po przyjacielsku.

— Mówiłeś o niebezpieczeństwie? Prawdopodobnie w zamku widziałeś więcej, aniżeli ja mogłem odkryć.

— To nie, tylko ja prawdopodobnie wyciągnąłem z tego więcej wniosków. Widziałeś przecie tyle, co i ja.

— Nie bardzo.

— Jakto? Nie widziałżeś wentylatora w sypialni hrabiny?

— Widziałem, ale to przecie otwór taki mały, że z pokoju profesora możnaby przezeń chyba tylko węża przesunąć.

— O tem, że znajdziemy wentylator, wiedziałem przedtem jeszcze, zanim tu przyszliśmy.

— Ależ, mój kochany! — zawołał Paulsen, ściągając usta do niedowierzającego uśmiechu.

— Tak, tak. Przypominasz sobie może, że hrabina opowiadała, iż czuła w swoim pokoju dym z papierosów starego profesora. To kazało mi odrazu przypuszczać, że między gabinetem profesora a sypialnią hrabiny jest jakieś połączenie. Mogło ono być ogromnie małe, bo inaczej komisya sądowa łatwo by je odkryła, doszedłem więc do wniosku, że chodzi tutaj o maleńki wentylator.

— No, ale w tem niema jeszcze nic niebezpiecznego.

— Mój przyjacielu, przynajmniej jest to rzeczą ogromnie ciekawą; zważ tylko, co za dziwny związek. Kobieta, śpiąca w łóżku, umiera nagle, w kilka dni potem, jak ponad łóżkiem wybito wentylator. To przecież musi każdego uderzyć.

— Mimo to nie mogę się w tem wszystkiem dopatrzeć związku.

— Nie zauważyłeś nic szczególniejszego na łóżku?

— Nie.

— Przecież łóżko przymocowane jest do podłogi. Widziałeś coś podobnego?

— Musiałbym zełgać, by powiedzieć: tak.

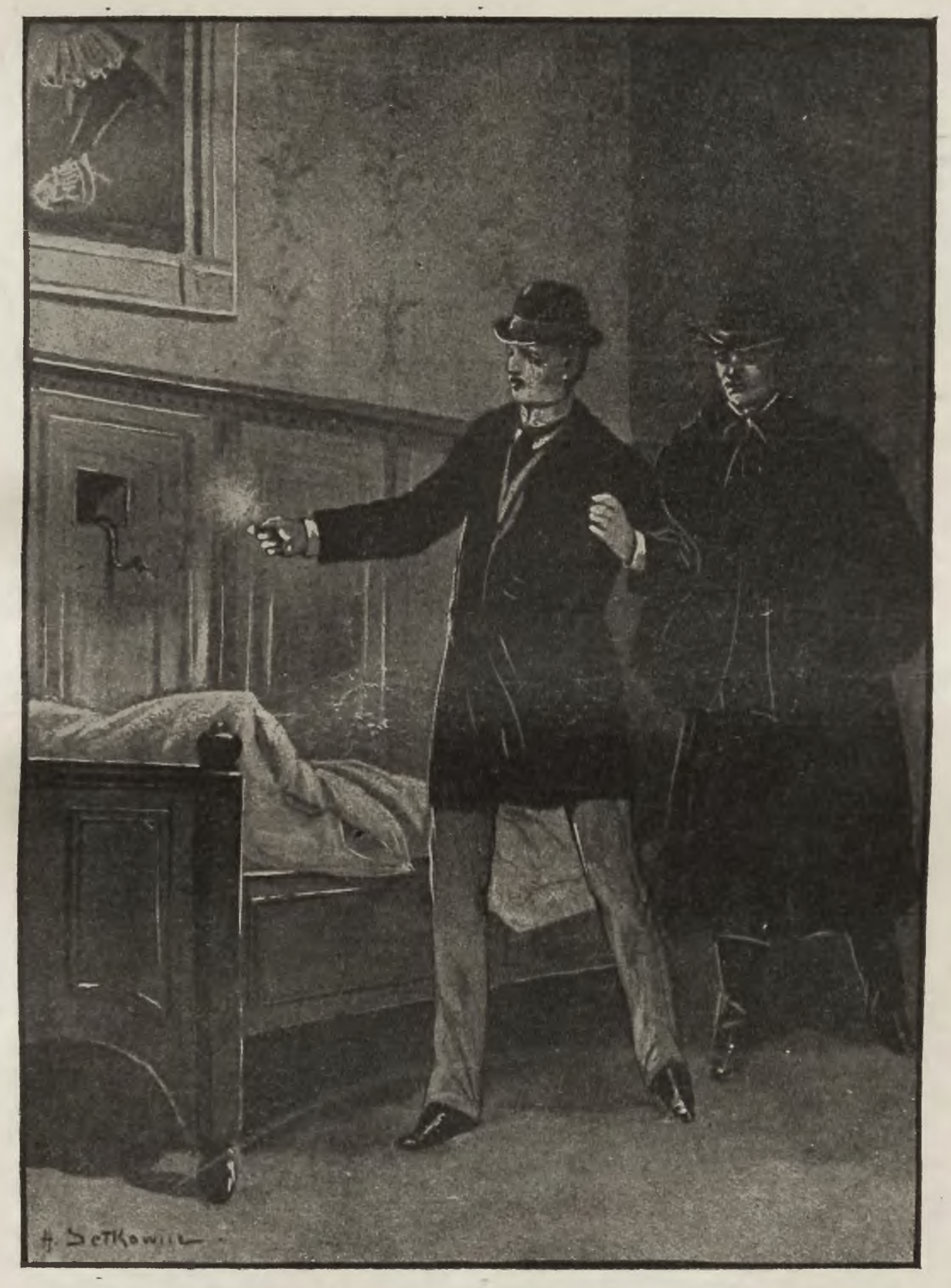
— Kobieta ta nie mogła więc łóżka przesunąć, czyli innemi słowy, łóżko musiało stać tuż obok wentylatora.

— Wiesz co, mogę ci pogratulować — rzekł Paulsen, ściskając Steinowi rękę. — Powoli zaczynam cię pojmować. Więc przyszliśmy akuratnie w sam czas, aby zapobiedz ohydnej, straszliwej zbrodni.

— Bez kwestyi ohydnej i potwornej. Jednak— czeka nas jeszcze dzisiaj dużo okropności; pozwólże więc, że sobie spokojnie wypalę fajeczkę i o czemś weselszem pomyślę.

Była może godzina dziewiąta, kiedy światła w zamku pogasły i cały gmach zatonął w mrokach nocy. Dopiero po dwóch przeszło godzinach, około jedynastej, w jednem z okien zabłysła lampa. Stein aż skoczył na równe nogi, zobaczywszy ją.

— To znak dla nas — lampa w oknie środkowego pokoju — rzekł, chwytając przyjaciela za rękę.



....Widzisz, Paulsenie — zawołał — widzisz! — Wąż! Żmija!....

Obydwaj opuścili karczmę, zapowiadając gospodyni, że wybierają się jeszcze do jednego ze swych przyjaciół, u którego może noc całą przepędzą i wyszli na pole.

Odrazu powiał na nich mroźny wiatr północny, który chłodził ich rozpalone gorączką czoła. Szli wśród ciemności, zapatrzeni jeno w blask lampy z zamku, jak żeglarze wpatrują się w gwiazdę na zachmurzonym horyzoncie.

Przeszli przez mur, otaczający zamek i dostali się na dziedziniec. Doszedłszy do pałacu zdjęli obuwie i ku swemu niezmiernemu zadowoleniu doszli, przez nikogo niespostrzeżeni, do sypialni. Stein zamknął okienice, postawił lampę na stole i rozglądał się po pokoju. Wszystko było tak samo, jak za dnia. Potem nachylił się do Paulsena, który siedział na dywanie, złożył ręce przy ustach i rzekł doń tak, że on go tylko mógł słyszeć:

— Najmniejszy szmer zniweczy całą naszą robotę.

Paulsen skinął głową na znak, że wie, o co się rozchodzi.

— Nie możemy świecić, bo on to zaraz spostrzeże przez otwór — szepnął Stein, a Paulsen znowu skinął głową.

Po chwili Stein ozwał się znowu:

— Ale nie zaśnij przypadkiem, bo możesz to życiem przypłacić. Rewolwer miej w pogotowiu; ja sobie siądę na łóżku.

Paulsen wyjął rewolwer i położył go cicho na samym rogu stołu, aby w razie wypadku mieć go pod ręką. Stein położył obok siebie szpicrutę, pudełko zapałek i mały stoczek, poczem skręcił lampę i pokój zaległa ciemność i głucha cisza, przerywana tylko od czasu do czasu dźwiękami dzwonu kościelnego, wybijającego powoli kwadranse i godziny.

Nareszcie wybiła dwunasta. Wtem około wentylatora pojawił się przelotny błysk światła, który zaraz znikł, a do pokoju doszedł zapach palącej się oliwy i rozgrzanego żelaza. Widocznie w drugim pokoju zapalił ktoś krytą latarkę. Jakiś ledwie dosłyszalny ruch — potem znowu cisza — tylko swąd powiększał się coraz bardziej.

Przez pół godziny siedzieli obaj detektywi z zapartym oddechem, wytężywszy słuch. Naraz dał się słyszeć jakiś dziwny głos, jakiś lekki, łagodny świst, podobny do świstu syreny.

Jak błyskawica zeskoczył Stein z łóżka, zapalił zapałkę i uderzył jak wściekły w drzwiczki wentylatora.

— Widzisz, Paulsenie—zawołał—widzisz! — Wąż! Żmija!

Zbladł jak ściana, a na twarzy jego przebijało się przerażenie i groza. Przestał bić szpicrutą i wpatrywał się w otwór wentylatora.

W tej chwili z drugiego pokoju dobiegł straszliwy, niemożliwy do opisania krzyk, który grozą przebiegł cały zamek. Ból, wściekłość, trwoga, to wszystko czuć było w tym przeraźliwym krzyku.

— Cóż to może znaczyć? — szepnął Paulsen drżącemi wargami.

— To znaczy, mój kochany, że wszystko skończone — odparł Stein — a może tak i lepiej. Zabierz rewolwer, pójdziemy do pokoju profesora.

Zapalił lampę i wyszedł pierwszy na korytarz. Dwa razy zapukał do drzwi profesora, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Chwycił więc za klamkę i wszedł, a za nim Paulsen.

Straszliwy obraz przedstawił się ich oczom, potworny swoją grozą, tak, że nawet obaj detektywi, którzy przecie nieraz już widzieli podobne sceny, cofnęli się przerażeni ku drzwiom, jakby za nimi chcieli szukać pomocy.

ROZDZIAŁ XXV.

W sypialni profesora.

Na stole stała kryta latarka, z której wydobywał się wąski pasek światła i padał na szafę, stojącą otworem Koło stołu siedział na prostym drewnianym krześle stary profesor, otulony w długi, szary szlafrok; na nogach miał czerwone, hafto wane indyjskie pantofle. Głowę przechylił w tył i martwymi oczyma wpatrywał się w kąt pokoju. Naokoło głowy miał owinięty jakiś zawój, ozdobiony pstrymi centkami.

Gdy obaj detektywi weszli, nie ozwał się ani słowem, nie ruszył się ani z miejsca.

— Ten zawój — patrzajno! — szepnął Stein do swego kolegi i obaj przybliżyli się na palcach do stołu.

Naraz ten szczególny zawój zaczął się poruszać i ku przerażeniu detektywów podniosła się nagle z pomiędzy włosów profesora głowa ohydnej żmiji, osadzona na cienkiej szyjce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stulecie istnienia gimnazyum.

Brzeżany obchodziły przed tygodniem niezwykłą uroczystość jubileuszową, setną rocznicę przeniesienia do tego miasta gimnazyum ze Zbaraża. Na obchód tak rzadkiego jubileuszu przybyło mnóstwo gości z kraju, a nawet z poza jego granic; zjechało się około dwustu byłych uczniów tego wiekowego gimnazyum, wśród nich grono starców, którzy przed 50 z górą laty uczniami kolegowali z sobą w szkolnych murach brzeżańskich. W liczbie gości ze Lwowa znalazł się i ks. arcybiskup ormiański Teodorowicz i radca Lewicki imieniem krajowej Rady szkolnej i prof. Kadyi, jako reprezentant uniwersytetu.

W pierwszy dzień jubileuszu odbyła się iluminacya miasta, oraz pochód uczniów gimnazyum na cześć przybyłych, a w salach „Sokoła“ raut, połączony z koncertem muzyki wojskowej 55 p. p. W drugi dzień odprawiono w kościołach brzeżańskich nabożeństwa według trzech obrządków, poczem w farze i w cerkwi nastąpiło uroczyste odsłonięcie pamiątkowych tablic. Po nabożeństwach wobec uczestników zjazdu i licznej publiczności odbyła się jubileuszowa uroczystość, rozpoczęta odśpiewaniem przez połączone chóry Towarzystwa muzycznego, ruskiego „Bojana“ i chór gimn. z towarzyszeniem muzyki wojskowej uroczystego hymnu K. Weigla „Alma Mater“ do słów Jana Pietrzyckiego.

Następnie odbyła się akademia. Otworzył ją ks. arcybiskup Teodorowicz, który w Brzeżanach spędził kilka lat jako proboszcz i który podniósł odrębny charakter wychowawczy gimnazyum brzeżańskiego, na który składa się także odcięcie Brzeżan od świata wskutek braku kolei, piękna przyroda i zgoda, panująca między obiema narodowościami. W końcu w wymownych słowach skreślił idee przewodnie pokoleń tu wychowanych. „Jaką czcią otaczają synowie i wnuki Almae Matris jej powagę — mówił arcypasterz — najlepszym tego dowodem zastęp siwowłosych starców, co przybyli na uroczystość — i te szeregi młodych, najmłodszych i maluczkich, co wieńczą ją sercami. Bo też i tych, którzy tu spędzili chwile, nastroił na nutę miłości i ten cudny krajobraz natury, co otoczył Brzeżany, jakby gniazdo jaskółcze i ta mowa przeszłości, którą przemawiają mury starych kościołów i baszt zamkowych, gdzie błąkają się jeszcze echa starych, rycerskich peanów“. Po przemówieniu arcybiskupa nastąpiły przemówienia dyrektora gimn. p. Aleksandra Frączkiewicza, radcy Lewickiego, profesorów uniwersytetu Dunikowskiego i Kadyiego, prof. gimn. p. Maślaka, dwóch obecnych wychowanków gimnazyum i burmistrza miasta dra Schätzla, oraz odczytano akt hołdowniczy ku czci Almae Matris.

Po skończeniu akademii odbyła się w sali „Sokoła“ uczta, a wieczór uroczysty koncert.



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ Karolin.
Stulecie istnienia gimnazyum: Obchód jubileuszu gimnazyum w Brzeżanach: widok gmachu gimnazyalnego.

Dwudniowa ta uroczystość wniosła w mury starych Brzeżan charakter odświętny, a w sercach uczestników pozostawi zapewne niezatarte wspomnienia.



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ Karolin.
Stulecie istnienia gimnazyum: Obchód jubileuszu gimnazyum w Brzeżanach: pochód uroczysty gości i byłych uczniów starej szkoły.



25 lat u steru „Rosyi“: Henryk Barylski, jubilat, od lat 25 dyrektor Tow. Ubezpieczeń „Rosya“ w Warszawie.

25 lat u steru Rosyi.

Znany zaszczytnie w szerokich kołach Warszawy Henryk Barylski, obchodził 25-letni jubileusz swojej działalności w Tow. ubezpieczeń „Rosya“, której jest dyrektorem. Uroczystość powstała z inicyatywy i staraniem pracowników Towarzystwa. Po nabożeństwie dziękczynnem w kościele na placu Wareckim — w salach biurowych w gmachu Towarzystwa, wraz z inspektorami Towarzystwa zebrali się gremialnie o g. 1 popoł. współpracownicy jubilata, przedstawiciele innych Towarzystw, oraz delegowani przez drugie warsz. Tow. Wz. Kr. członkowie zarządu i rady, której wiceprezesem jest p. Barylski.

Podczas licznych toastów, jubilat między innemi wniósł za pomyślność trzech swoich współpracowników, trzymanych od dłuższego czasu w cytadeli. Podczas uroczystości, urzędnicy zainicyowali składkę celem utworzenia stypendyum im. Henryka Barylskiego, na które zadeklarowano na razie kilkaset rubli.

Jubileusz „Rodziny“.

Towarzystwo wzajemnej pomocy rękodzielników i przemysłowców „Rodzina“ we Lwowie, obchodziło dnia 10 bm. ćwierćwiekowy jubileusz swego istnienia. Założyło je przed ćwierćwiekiem grono ludzi dobrej woli, z których dotychczas żyją tylko prof. uniw. krakowskiego dr Teofil Ciesielski i chemik miejski dr Dunin Wąsowicz, a celem jego niesienie pomocy członkom na wypadek choroby, zabezpieczenie im emerytur na wypadek niezdolności do pracy, oraz pensyj wdowom i sierotom po nich. Oprócz tego Towarzystwo rozdziela corocznie datki stypendyjne dzieciom członków, datki na pogrzeb, a celem uczczenia swego jubileuszu otworzyło nową fundacyę posagową dla córek członków i emerytów. Członków liczy Towarzystwo 600, a mianowicie rękodzielników 298, przemysłowców 56, kupców 26, pracujących przy gospodarstwie i innych zajęciach 81, umysłowo pracujących 139, kobiet 13. Pobierających stałą zapomogę było 83 osób. Od początku istnienia wypłaciło Towarzystwo na stałe zapomogi inwalidom, wdowom i sierotom 57 969 k. 24 h., na datki stypendyjne 8 810 koron. „Rodzina“ posiada trzynaście oddziałów, a mianowicie: we Lwowie, Stryju, Złoczowie, Bochni, Borszczowie, Gródku, Nowym Targu, Przemyślu, Sanoku, Sokalu, Stanisławowie, Tarnopolu i Winnikach pod Lwowem. Tow. „Rodzina“ daje członkom swym lepsze warunki, niż wszystkie inne tego rodzaju Towarzystwa. Już po pięciu latach należenia do niego daje ono 50 procent wypłaconych udziałów, z podwyższeniem pożytku co roku o 1 procent aż do roku 30, a z rokiem 35 tym 75 procent jako stałą zapomogę dla członków niezdolnych do pracy zawodowej aż po koniec ich życia; następnie wdowie, również po koniec życia lub do powtórnego zamążpójścia dwie trzecie tej kwoty, która przypada mężowi w dniu jego śmierci, jedną trzecią zaś dla pozostałych sierot, aż do roku 14. Jeden udział wynosi 8 koron — najwyżej można się ubezpieczyć na 12 udziałów. Do Towarzystwa tego więc powinien należeć każdy, kto niema zabezpieczenia przyszłości, przywiązanego już do wykonywania pracy, tzw. emerytury i „Rodzina“ powinna mieć swe oddziały w każdem mieście galicyjskiem.

Naczelną władzę Towarzystwa stanowi Rada nadzorcza, do której każdy oddział liczący do 100 członków wysyła 1 delegata, oddział liczący ponad 100 członków 2 delegatów. Sprawami Towarzystwa zawiaduje Wydział centralny, złożony z prezesa, dwóch wiceprezesów i 9 członków, wybrany przez Radę nadzorczą na lat trzy. Rada nadzorcza zbiera się raz do roku, Wydział centralny raz na miesiąc, a w razie potrzeby i często.

Uroczyste zgromadzenie jubileuszowe odbyło się dnia 10 czerwca w sali ratuszowej we Lwowie. Obrady zagaił prezes Towarzystwa p. Welichowski, który skreślił historyę „Rodziny“, podniósł jej dodatnią działalność, a w końcu wręczył dyplomy jubileuszowe siedmiu członkom, którzy od samego początku należą do „Rodziny“. Zgromadzenie było bardzo liczne, przybyło bowiem bardzo wielu członków z poza Lwowa. Po załatwieniu spraw bieżących uchwaliła Rada nadzorcza, celem uczczenia jubileuszu, stworzyć, jak już na wstępie podnieśliśmy, fundacyę posagową dla córek członków. Na miejsce przyszłego zjazdu wybrano Winniki. W końcu dokonano wyborów: prezesem wybrano ponownie p. Jana Welichowskiego, 1 wiceprezesa ponownie p. Bolesława Mikulińskiego a 2 gim prezesem redaktora Kolbuszowskiego. Po zgromadzeniu uczestnicy zebrani udali się na strzelnicę miejską gdzie wspólnie się fotografowali, poczem spożyli obiad, podczas którego wzniesiono szereg toastów.

Niżej zamieszczamy zdjęcie fotograficzne grupy członków Towarzystwa „Rodziny“, z prezydyum w pośrodku.



Fot. Cz. Kulewski w Warszawie

Marya Olszewska, artystka teatru łódzkiego, zaangażowana na stałe na scenę lwowską przez dyrektora Hellera.

Jarmark krajowy we Lwowie.

Przed trzema prawie laty, kiedy w kraju naszym poczęto żywiej pracować nad podniesieniem przemysłu, pojawiła się też myśl urządzania w pewnych odstępach czasu jarmarków wyrobów krajowych, których celem byłoby nie tylko wystawianie tych wyrobów, ale przedewszystkiem ułatwianie stosunków handlowych między producentami i konsumentami. Myśl tę zrealizowano po raz pierwszy przed



Fot. Wybranowski, Lwów.

Jubileusz „Rodziny“: Grupa członków Stowarzyszenia „Rodzina“ we Lwowie z prezydyum w pośrodku.

dwoma laty we Lwowie i pierwszy ten jarmark powiódł się bardzo dobrze pod każdym względem.

W tym roku został po raz drugi taki jarmark urządzony, również we Lwowie i w tem samem miejscu tj. na placu powystawowym na wzgórzu



Fot. M. Münz.
Jarmark krajowy we Lwowie: Przemysłowiec lwowski Tadeusz Höflinger, sekretarz komitetu jarmarku.

Stryjskiem. Już w lutym zawiązał się w tym celu obszerny komitet, na czele którego stanął jako przewodniczący dyr. Stanisław Majerski, a obok niego dwaj młodzi, bardzo energiczni przemysłowcy, pp. Aleksander Lewicki, współwłaściciel znanego w całym kraju składu porcelany i Tadeusz Höflinger, oraz p. Angelo Bartoń, dyrektor jednej z lwowskich instytucyj finansowych. Komitet ten wziął się bardzo energicznie do dzieła, zachęcił producentów krajowych do udziału w jarmarku, dzięki czemu liczba wystawców doszła do 500, i dziś może z dumą spoglądać na owoc swej kilkumiesięcznej pracy.

Jarmark bowiem, którego otwarcie nastąpiło w uroczysty sposób w ubiegłą sobotę, przewyższa bardzo znacznie jarmark poprzedni i przedstawia się pod każdym względem bardzo dodatnio. Plac powystawowy zabudowano znowu całym szeregiem pawilonów i pawiloników, zapełnionych wyrobami przemysłu krajowego, a zaraz na wstępie podnieść należy, że ilość tych wyrobów zarówno jak ich jakość przedstawia się wprost imponująco.



Fot. E. Trzemeski.
Jarmark krajowy we Lwowie: Przewodniczący komitetu jarmarku, dyrektor Stanisław Majerski.

Publiczność lwowska przyjęła urządzenie jarmarku bardzo przychylnie i zaraz w pierwszym dniu tj. w sobotę pospieszyła tłumnie na plac powystawowy, w niedzielę zaś wieczorem zebrały się tam takie tłumy, jakich od czasu wystawy krajowej w r. 1894 nigdy nie było. Jarmark tedy zapowiada się bardzo pięknie.



Jarmark krajowy we Lwowie: Zast. przewodniczącego komitetu jarmarku krajowego, Aleksander Lewicki, znany kupiec i przemysłowiec lwowski.

W numerze dzisiejszym podajemy portrety członków ścisłego komitetu, pp. St. Majerskiego przewodniczącego, A. Lewickiego zastępcy, T. Höflingera sekretarza i A. Bartonia skarbnika, oraz zdjęcie z otwarcia po przemowie dyrektora Majerskiego.



Fot. E. Trzemeski we Lwowie.
Jarmark krajowy we Lwowie: Uroczyste otwarcie, niesłychanem powodzeniem cieszącego się we Lwowie, wielkiego jarmarku krajowego na placu powystawowym.

Książęce gody.

Przed tygodniem miała Warszawa świetny zjazd arystokracyi polskiej na książęce gody.

Przed południem we wspaniale przyozdobionej świątyni św. Krzyża na Krakowskiem Przedmieściu, odbyła się uroczystość zaślubin Karola ks. Radziwiłła, drugiego z rzędu syna ordynata na Ołyce, Ferdynanda ks. Radziwiłła, członka dziedzicznego pruskiej Izby panów, prezesa Koła polskiego w niemieckiej Radzie państwa i Pelagii z ks Sapiehów — z Maryą hr. Zamoyską, najstarszą córką Andrzeja hr. Zamoyskiego z Podzamcza i ks. Karoliny Anjou Bourbon — wnuczką ks. Franciszka de Paula Bourbon i arcyksiężny Izabelli Austro-Toskańskiej. Na krótko przed przybyciem orszaku ślubnego przybył do świątyni ksiądz arcybiskup warszawski Wincenty Chościak-Popiel i zajął miejsce na tronie po lewej stronie ołtarza. Oblubienicę przyodzianą we wspaniałą toaletę z olbrzymim trenem, niesionym przez troje młodziutkich członków orszaku ślubnego powiódł do ołtarza ojciec, Andrzej hr. Zamoyski. Oblubieńca prowadziła matka Pelagia Ferdynandowa ks. Radziwiłłowa. Mszę rzymską na intencyę godów odprawił O. Konstanty Czorba, wicerektor kolegium polskiego Zmartwychwstańców w Rzymie, przybyły umyślnie na uroczystość. Błogosławieństwa ślubu udzielił oblubieńcom przywdziawszy szaty pontyfikalne ks. arcybiskup w asystencyi ks. kanonika Michalskiego i ks. kanonika Pleszczyńskiego z Maciejowic (parafii panny młodej).

Z kościoła orszak ślubny, złożony z licznych przedstawicieli umitrowanych i utytułowanych nazwisk, udał się na śniadanie do pałacu na ul. Foksal, gdzie rodzice nowozaślubionej podejmowali swych gości.

Jedyna siostra nowożeńca Małgorzata ks. Radziwiłłówna, zaślubiona jest Franciszkowi hr. Potockiemu, najstarszemu synowi ordynata Konstantego hr. Potockiego i Janiny z hr. Potockich. Młodszy brat Janusz ks. Radziwiłł, pojął za małżonkę Izabellę hr. Wodzicką.



Fot. M. Münz.
Jarmark krajowy we Lwowie: Dyrektor Angelo Bartoń, skarbnik komitetu jarmarku.



Ćwierć wieku szefem sztabu: Generał zbrojmistrz hrabia Beck, obchodzący obecnie 25-letni jubileusz na stanowisku szefa sztabu generalnego w Austryi — w otoczeniu oficerów sztabowych, towarzyszących mu w tegorocznej podróży inspekcyjnej dla sprawdzania map sztabu generalnego.

Zlot polskich wioślarzy.

Zapowiedziany na pierwssy dzień Zielonych Świątek w Ciechocinku zlot Towarzystw wioślarskich zainteresował bardzo żywo szerokie koła wioślarzy Król. Polskiego. Jak wiadomo bowiem, na zjeździe delegatów zaprzyjaźnionych Towarzystw przyjęto projekt ustanowienia święta wioślarskiego



Książęce gody: Odbyte przed tygodniem w Warszawie przy licznym zjeździe arystokracyi, zaślubiny Karola ks. Radziwiłła, syna ordynata ks. Ferdynanda, prezesa berlińskiego Koła Polskiego, z Maryą hr. Zamoyską, córką hr. Andrzeja, a wnuczką arcyksiężnej Izabelli Austryacko-Toskańskiej; nowożeńcy w otoczeniu rodziny i gości weselnych przed pałacem rodziców panny młodej na Foksalu.

na Zielone Świątki każdego roku i postanowiono w dniu 1-ym świąt zebrać się jak najliczniej w Ciechocinku Udział w uroczystości przyrzekły wszystkie Towarzystwa w kraju, a więc warszawskie, płockie, włocławskie, łomżyńskie, konińskie T. Brzezińskiego, łódź „Bug“, sternik p. W. Borman. Osady miały drogę poprostu okropną, pod Nowym Dworem fala była tak straszna, iż wprost nie było możliwem ruszyć się dalej, przen siła bowiem o stopę łodzie, zalewając burty. W dodatku dając w ten sposób dowód niezwykłej sprawności, hartu i wytrzymałości.

W Ciechocinku przybywające osady witała śpiewem „Duda“. Przed śniadaniem jeszcze wioślarze z prezydyum na czele poszli do pięknego



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“ fot. Alperna w Ciechocinku.

Zlot polskich wioślarzy (warszawskich, płockich, włocławskich, krakowskich, poznańskich, kaliskich i łomżyńskich w Ciechocinku.

i kaliskie; spodziewano się zaś nadto przedstawicieli z Poznania i Krakowa. Najwcześniej wyruszyli w drogę łomżyniacy. Z Warszawy podążyły w piątek z przystani Towarzystwa wioślarskiego 6 wiosłówka „Świstun“ pod sterem pana W. Rago, łódź „Syrena“. sternik Ig. Bagiński, łódź „Zosia“ z motorem Motogodisle, prowadzona przez p. St. Marynowskiego, łódź „Kmicic“ pod sterem p. prezes Przecławski zasłabł i musiano go z Nowego Dworu odwieźć do Warszawy.

Pomimo fatalnych warunków, wszystkie osady, po zatrzymaniu się w Włocławku, gdzie były powitane niezmiernie serdecznie, po przenocowaniu tamże, dopłynęły szczęśliwie do Ciechocinka, a właściwie do Czerwonego Krzyża w niedzielę d. 3-go b. m., aczkolwiek ze znacznem opóźnieniem, składając... kościółka ciechocińskiego na sumę, podczas której czterech wioślarzy służyło do mszy a „Duda“ wykonała pieśni religijne. Następnie powrócono do pp. Graff, którzy całą brać wioślarską w liczbie już około 100 osób przyjęli niezmiernie serdecznie i gościnnie w sali swej, pięknie przybranej godłami wioślarskiemi. Po śniadaniu i kilkakrotnem odfotografowaniu obecnych, wioślarze uszykowali się



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“ fot. Cz. Kulewskiego w Warszawie.

Nasze przyszłe sławy: Pierwsza w Warszawie wystawa uczniów i uczenic Szkoły Sztuk Pięknych: grupa wystawców z działów rysunku, malarstwa i rzeźby z dyrektorem szkoły, mistrzem Stabrowskim.

w czwórki i, śpiewając, wyruszyli na spacer do parku a następnie pod tężnie.

Obiad w hotelu Müllera zgromadził wszystkich uczestników zlotu. Tu więc okazało się, iż z Warszawy przybyło 57 wioślarzy z wiceprezesem L. Kobyleckim i skarbnikiem p. Schellerem na czele,



Jubileusz komika: Popularny komik sceny ludowej w Krakowie, Władysław Kiciński, obchodzący 35-letni jubileusz pracy aktorskiej.

z Włocławka 26 kolegów, którym przewodniczyli B. Domaszewicz, prezes, A Górnikiewicz, wiceprezes, i J. Karasiński, naczelnik przystani; z Kalisza 5 panów, z wiceprezesem J. Korytowskim; z Płocka 10 kolegów wraz z naczelnikiem przystani L. Janickim; z Łomży 4 wioślarzy i wiceprezes H Górski i F. Tyliński, naczelnik przystani. Gdy zgromadzeni zasiedli do biesiady, spotkała ich bardzo miła niespodzianka, zjawili się bowiem przedstawiciele Tow. wioślarskiego w Poznaniu.

Na naradach sportowych, odbytych wieczorem, uchwalono rozgrywanie corocznie „Mistrzowstwa międzyklubowego“ z nagrodą wędrującą“, ufundowaną kosztem wszystkich Towarzystw i coroczne odbywanie zlotów w Zielone Świątki.

Hołd pamięci polskiego rzeźbiarza.

W poniedziałek ubiegły zgromadził się na cmentarzu krakowskim liczny zastęp artystów i miłośników sztuki nad mogiłą śp. Marka Marcelego Guyskiego, artysty rzeźbiarza, zmarłego w roku 1892. W dniu tym odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika niezapomnianego w dziejach naszej sztuki artysty. Pomnik, wykonany przez ucznia śp. Guyskiego, znakomitego i cenionego dzisiaj artystę, p. Tadeusza Błotnickiego, wykonany z białego kamienia, uderza doskonałem pojęciem i szlachetnością wykończenia, przytem tą prostotą artystyczną, która musi każdego chwycić za serce. Przedstawia on śp. Guyskiego, siedzącego, na złomie, w bluzie, jakby właśnie przy pracy, w swojej pracowni, z której wyszło tyle dzieł wielkich, tyle prawdziwych arcydzieł. Z twarzy śp. Guyskiego promienieje jakaś potężna moc twórcza i zapał; zda się, że widzimy go przed sobą żywego, takiego jakim się go najczęściej widzieć zwykło. Śmiało możemy powiedzieć, że pomnik śp. Guyskiego jest jednem z najpiękniejszych dzieł T. Błotnickiego; stanowić będzie niewątpliwie jedną z najcenniejszych, prawdziwie artystycznych ozdób krakowskiego cmentarza. Zamieszczona obok ilustracya, przedstawiająca fotografię pomnika, da zresztą najlepsze wyobrażenie o wartości tego niepospolitego dzieła sztuki.

Guyski, urodzony w Krzywiszyńcach na Ukrainie w roku 1832, zwrócił się po ukończeniu szkół średnich do umiłowanej od lat dziecięcych sztuki, i poświęcił się przedewszystkiem rzeźbie. Jako uczeń warszawskiej szkoły sztuk pięknych okazywał nadzwyczajne zdolności artystyczne, a obok tego głęboką i wszechstronną chęć kształcenia się. Ta chęć spowodowała go do wyjazdu zagranicę, gdzie odbywał dalsze studya w Bolonii, Florencyi i Rzymie, potęgując ciągle swój wielki i bujny już talent. W roku 1870 przyjechał do Krakowa, skąd robił artystyczne wycieczki do Paryża. Uznany i ceniony przebywał w Krakowie przez trzydzieści ostatnich lat życia. Tu wykonał długi szereg swych najcenniejszych prac, otoczony garstką pokrewnych sobie duchem uczniów i uczenic. Początkowo był w Krakowie przez krótki czas profesorem w Szkole sztuk pięknych, potem w Muzeum Baranieckiego. I na jednem i na drugiem stanowisku wykształcił cały szereg uczniów i uczenic, dzisiaj już gwiazd na horyzoncie naszej sztuki. Dość wspomnieć, że pod jego kierunkiem kształcili się Malczewski, Błotnicki, Lewandowski, Daun, Madejski, Pochwalski, Rożniatowska, Certowiczówna i wielu innych, znakomitych artystów.

Z pomiędzy wielu prac Guyskiego, rozrzuconych po całym kraju, wymienimy tylko najcenniejsze: biusty Asnyka, ks. Goliana, Mickiewicza, Modrzejewskiej prócz wielu, wielu innych.

Jubileusz komika.

Popularny w Krakowie komik sceny ludowej. p. Władysław Kiciński, obchodzi w roku bieżącym 35 letni jubileusz pracy scenicznej. Z tej okazyi teatr ludowy urządza przedstawienie benefisowe p. Kicińskiego. Nie wątpimy, że publiczność, która swojego „Kitę“ — jak powszechnie nazywają jubilata — tak lubi na scenie, zamanifestuje swoje dla niego uznanie przez to, że zapełni widownię teatru ludowego po brzegi.

Władysław Kiciński, którego portret podajemy, wstąpił w roku 1871 do teatru ogródkowego „Tivoli“ w Warszawie, zostającego podówczas pod dyrekcyą Anastazego Trapszy. Po dwu latach, przeniósł się na prowincyę, gdzie grywał najczęściej w operetkach. Wzięty do wojska, odbył kampanię rosyjsko turecką, poczem ze zrozumiałych powodów umknął do Krakowa. W Galicyi dostał się naprzód do towarzystwa p. L. Stępowskiego w Iwoniczu, potem przez dłuższy czas zajmował pierwszorzędne stanowisko w towarzystwie operetkowem Lasockiego. W roku 1879 dostał się do teatru lwowskiego, będącego wówczas pod dyrekcyą Stanisława i Jana Dobrzańskich. Tam był przez 2 lata. W roku 1882 przybył do teatru krakowskiego, gdzie pod dyrekcyą Koźmiana grał pierwszorzędne role komiczne, zyskując sobie coraz większe wzięcie u publiczności. Po dwuletnim pobycie w Krakowie, od roku mniej więcej 1885, powracał jeszcze kilkakrotnie na scenę lwowską; był w operetce za Hellera i Barącza, poczem zaczęła się już tułaczka artystyczna po prowincyi. Obecnie stanowi jedną z najlepszych sił ludowego teatru krakowskiego.

Zna go dobrze starsze pokolenie, pamiętające jego „świetne czasy“; młodsze, pokochało go za jego szczery humor, nie silący się na sztuczne dowcipy, ale swojskością i ciętością wywołujący ten prawdziwy, dobry, zdrowy śmiech, jaki się zwykle rozlega w teatrze ludowym, kiedy na scenie pojawi się „Kita“.

Wyścigi konne w Krakowie.

Olbrzymi tor wyścigowy za rogatką Wolską zapełnił się w niedzielę popołudniu tłumami publiczności. Pawilony z lożami zakwieciły się wspaniałemi toaletami dam, na dole, obok totalizatora,



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“; aparatem red. fot. W. Lis.

Hołd pamięci polskiego rzeźbiarza: Odsłonięty w poniedziałek na cmentarzu krakowskim pomnik na grobie artysty-rzeźbiarza, Marka Marcelego Guyskiego, dłuta jednego z jego uczniów, Tadeusza Błotnickiego.

przewijała się żywa fala głów ludzkich, barwna, ruchliwa, jaką w Krakowie rzadko kiedy widzieć się zdarza. Był to pierwszy dzień wyścigów konnych, inauguracyjny dzień wielkich sportowych widowisk.

z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że sam zarząd Towarzystwa wyścigów konnych dokłada wszelkich starań, aby wyścigi stały się faktycznie popularne. Pawilony z lożami są urządzone prosto, ale wygodnie i porządnie, na każdym kroku roz-



Aparatem red. fot. dla „Nowości Illustrowanych“ W. Lis.
Wyścigi konne w Krakowie: Przy totalizatorze pierwszego dnia wyścigów.

maite udogodnienia, znać, że Zarządowi zależy na tem, aby publiczność nie miała powodu do narzekań. Jest to w znacznej części zasługą energicznego sekretarza Towarzystwa, p. Zygmunta Sokołowskiego.

Pogoda sprzyjała, aczkolwiek niebo zasłane było gęstymi chmurami, które lada chwila groziły deszczem. Parność unosząca się w powietrzu, drażniła i podniecała nerwy, już i tak ciekawością i zainteresowaniem się wyścigami podniecone.

Trzeba przyznać, że Kraków interesuje się sportem wyścigowym i lubi chodzić na wyścigi. Ale

Straszny pogrom w Białymstoku.

(Do illustracyi tytułowej).

Kiedy niedawno temu rozbiegły się z Rosyi wieści hiobowe o okrutnych pogromach po miastach różnych prowincyj, o rzeziach to inteligencyi, to znów żydów — dreszcz trwogi wstrząsnął czytelnikami gazet. Aż oto nadszedł dzień, w którym świadkowie naoczni powiedzieli światu, że stało się coś jeszcze straszniejszego, wobec czego blednął dawne rzezie czarnych sotni. To pogrom żydów w Białymstoku na Litwie przed tygodniem był tak okropnym. Oto, co o nim pisał jeden z niewielu odważnych korespondentów, którzy zdecydowali się pojechać z Warszawy na miejsce pogromu:

Jeszcze w roku ubiegłym, gdy po raz pierwszy miano odprawić uroczystą procesyę w dzień Bożego Ciała, rozeszła się pogłoska, że dokonany będzie pogrom żydowski. Żydzi jednak wtedy pod wpływem oberpolicmajstra Derkaczewa urządzili straż obywatelską, czuwającą nad normalnym przebiegiem procesyi. W tym roku wobec również uporczywie krążących pogłosek, jak objaśniał mnie miejscowy nauczyciel — wybrała się delegacya do gubernatora grodzieńskiego. Ten jednak zapewnił ją, że „przyjęte będą wszelkie środki ochronne celem zapobieżenia pogromu“. Żydzi na skutek te-



Aparatem redakcyjnym fot. dla „Nowości Illustrowanych“ W. Lis.
Wyścigi konne w Krakowie: Tegoroczne wyścigi na torze krakowskim na Błoniach: pierwszego dnia po biegu; publiczność w lożach.

go nie urządzili takiej straży jak w roku ubiegłym. Oprócz tego w ostatnich dniach rozchodzić się poczęły wśród ludności rolniczej i mieszkańców wsi okolicznych rozpuszczane wiadomości o strasznych zbrodniach żydowskich. A więc opowiadano, że żydzi białostoccy zamordowali kilku chrześcian i powiesili ich na krzyżach w lesie (?!). Wśród zamordowanych — jak twierdziła oszczercza wieść — znajdować się miała jakaś ciężarna kobieta, której z łona wypruto niedonoszony jeszcze płód... Na nieszczęście dla ludności białostockiej, właśnie w tym czasie zabity został przez niewiadomego sprawcę — jak ogólnie twierdzą, nie żyda — policmajster Derkaczow, który taktem swoim podobno umiał wzbudzić sobie ogólną sympatyę wśród żydów. I oto wczoraj o godzinie 12 w południe wyruszyła procesya ludności prawosławnej, urządzona na pamiątkę uniknięcia cholery, z duchownymi i ikonami na czele Procesya taka, odbywająca się corocznie, skierowana do instytutu Mikołajewskiego, kończyła się zazwyczaj uroczystością szkolną, w której brały udział wychowanice tego zakładu. Procesya jednak doszła do środka mniej więcej ul. Mikołajewskiej (w pobliżu gmachu banku państwa), gdzie właśnie zdarzył się ów straszny wypadek. Oto na balkonie domu p. Makowskiego stało kilku jakichś ludzi, którzy zaczęli strzelać z rewolwerów. Strzały te sprawiły popłoch oraz spowodowały zgoła nieoczekiwany wypadek. Oto w bramie naprzeciwko (w domu, gdzie mieści się apteka Maciejewskiego) znajdowało się kilku robotników żydowskich, należących do samoobrony. Ci na odgłos strzałów dali się sprowokować i odpowiedzieli strzałami. W tej właśnie chwili owi prowokatorzy z balkonu domu Makowskiego rzucili głośną petardę, która — wbrew doniesieniom, jakoby rozerwała mnóstwo osób — oprócz niezwykle głośnej eksplozyi, nie miała żadnych następstw. Rozpoczęła się strzelanina. Idące na czele procesyi wojsko zaczęło ostrzeliwać okna domu — a tłum rzucił się do bramy. W tej również chwili zjawił się, niewiadomo skąd, liczny zastęp sprowadzonych do robót ziemnych robotników z centralnych gubernii. Wśród strzałów raniony został prowadzący procesyę duchowny, Paweł Zielinskij, w bok, niezbyt ciężko. Zaznaczyć również należy, że podczas strzałów kilka kul trafiło w niesione ikony. Okoliczność tę — choć do tej pory nie wyświetlono, czyje kule utkwiły i potrzaskały ikony — znajdujący się w orszaku czarnosotieńcy podnosili jako sprawę żydowską. Tak więc, gdy już na ul. Mikołajewskiej rozpoczął się na dobre pogrom i gdy mordowano mieszkańców domu Maciejewskiego, wyruszyła druga procesya, katolicka. Właśnie, gdy procesya ta miała wracać do kościoła, wśród ludności katolickiej usiłowano rozbudzić przekonanie, że „żydzi biją chrześcian“, chcąc tym sposobem Polaków wciągnąć do strasznej rzezi. Stało się jednak inaczej. Procesya z pieśnią na ustach skierowała się do kościoła, gdy jednak już miano wstąpić w mury kościelne, na czele stanęło wojsko, które dla ułatwienia pochodu zaczęło strzelać wzdłuż ulic, oraz do domów. Bezpośrednio później rozpoczęły się pogromy sklepów, które w całym Białymstoku z wyjątkiem kilku, uległy zupełnemu zniszczeniu i grabieży. Bandy uzbrojonych w żelazne laski i sztylety chuliganów, do których przyłączyły się miejscowe męty, nie poprzestały na sklepach. Wdzierano się do prywatnych mieszkań. Wywlekano mężczyzn i mordowano je w ohydny sposób. Wieczorem i w nocy mimo ulewnego deszczu wciąż rozlegały się strzały karabinowe oraz słychać było odgłos wyłamywanych sklepów, z których kradziono wszystko, cokolwiek przedstawiało jakąś wartość. Oszalały tłum chciał koleją uciec. Tam jednak około godz. 8 wieczorem wdarł się tłum chuliganów (większość ich nosi kolejowe czapki), którzy obstawiwszy wszystkie wyjścia, po kolei mordowali zgromadzonych na placu przed dworcem. Wielu ich tam zginęło, niewiadomo, dość, że jak twierdzi służba kolejowa, sala cała kąpała się w krwi. Nie dość tego. Rozbestwiony tłum wdarł się do pociągu. Wywleczono stamtąd pasażerów, których na stacyi zamordowano. Tak w ogólnych zarysach minął pierwszy dzień pogromu. Wielu zostało zamordowanych w tym dniu, niewiadomo.

* * *

Drugi dzień pogromu był niemniej straszny. Czarne seciny hulały na dobre bez przerwy, kąpiąc się w potokach krwi ludzkiej. Ulice i domy Białegostoku zawalone setkami okropnie pokaleczonych trupów. Miasto przedstawia obraz zniszczenia, trudny do opisania. Ile strat ponieśli mieszkańcy żydowscy Białegostoku, łatwo się domyśleć. Kto mógł — uciekł w miejsce bezpieczne. Ale gdzie dziś jest istotnie bezpiecznie — pytają wszyscy w popłochu. Czyż bowiem skończy się to wszystko na Białymstoku?

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.
Napisał Bronisław Mazowiecki.

11 (Ciąg dalszy).

— W bieliźnie była samej?

— Gdzieżby zaś, ba! mniejby było wstydu... Ale właśnie z przeproszeniem jasnego pana, to całkiem naga... aże było dokumentnie widać pręgi po sznurze przez ciało, furt po plecach, po bokach, iż żal się robiło nie uratować kobiety przed waryatem... To i z przeproszeniem łaski pana dziedzica, dziwować się nie można i nawet rzec ośmielę się, co jasna pani nasza tylko z rozsądnością postąpiła przezornie, jako że zaraz wyjechała po nocy, bo srodze niebezpiecznie byłoby tak samej na folwarku zostać z takim waryatem.

Wziął się Wosinek do dalszego czyszczenia powozu po długiej podróży, ponieważ pan Edward nie słuchając go do końca, oddalił się w zamyśleniu, wracając do łóżeczka chorego syna.

. . . .

Nie powracała z folwarku siostra Felicya. Można było wnosić, iż skutkiem chłosty, jakiej stała się ofiarą, trudno jej będzie ruszyć zaraz w drogę. Na podstawie opowiadań łatwo się było domyśleć, iż będzie musiała nawet parę dni w łóżku pozostać...

Ale panu Edwardowi przychodziło na myśl, że ta kobieta gotowa wstydzić się teraz, pokazać mu się na oczy, po tem wszystkiem, co zaszło i o czem on musiał się już dowiedzieć od świadków naocznych nocnej afery...

Chodził on po pokojach zadumany, niezdecydowany, co mu począć wypada.

Była chwila, kiedy mu się zdawało, iż powinien pojechać na folwark. Wszakże stało się nieszczęście. Zresztą niewiadomo, na czem się skończyło... A nuż waryat nie poprzestał na tem, albo ludzie na folwarku nie zdołali go powstrzymać i ksiądz Jan w napadzie furyi zamordował kogo czy dom podpalił...

Wreszcie siostra Felicya potrzebuje pomocy...

Ta myśl prześladowała go najdłużej i nie dając mu spokoju, wypędzała z domu dziedzica, który niemal gotów był już kazać zaprzęgać, żeby co rychlej jechać na folwark...

Ale za każdym razem albo przywoływano go w takiej chwili do łóżka chorego synka, albo też zjawiała się przed nim żona, wracając z płaczem od gorączkującego Czesia.

Dziecku bowiem było coraz gorzej i nie obeszło się bez wizyty sprowadzonego z najbliższego miasta lekarza.

Matka rozpaczała, gdy doktór oświadczył rodzicom, że stan chorego chłopczyka jest bardzo groźny. Ojciec modlił się tylko, nie tracąc nadziei w Bogu. Sztuce lekarskiej nie bardzo dowierzał on w ogólności. Ale zwłaszcza w ostatnich czasach, pod wpływem dysput z siostrą Felicyą, stracił zaufanie do medycyny ziemskiej, przekonany, że jedynym lekarzem Bóg jest — a nawet poniekąd grzechem byłoby sprzeciwiać Mu się w Jego wyrokach, na próżno próbując sztuką doktorską przydłużać życie ludzkie wtedy, gdy z Niebios pada wskazówka wyraźna, iż kres mu naznaczono właśnie...

To też po cichu rad był dziedzic temu, gdy mu lekarz, gwałtem przez matkę do chorego dziecka sprowadzony, oświadczył po paru godzinach, że ma jeszcze kilka wizyt w okolicy tak pilnych i zwłoki nie cierpiących, iż bezwarunkowo musi odjeżdżać. Matkę zapewniał doktor, że gdyby tylko było tego potrzeba, można będzie po niego posłać konnego posłańca do miasta, ale się z tem bardzo nie narzucał, widząc, jak chłodno przyjmuje go dziedzic, nawet nie dowiadujący się wprost od niego, w jakim stanie zastał dziecko.

W strapieniu wielkiem nie zauważyła tego nawet pani Edwardowa i wszystko kładła na karb bigoteryi męża, który w tak ciężkiej godzinie modlitwie wyłącznie oddany, nie wie, co się w koło niego dzieje...

Czyż mogła ona teraz przypuszczać nawet, iż myśli Edwarda co chwila opuszczają łóżeczko Czesia i biegną hen, na folwark... do siostry Felicyi.

A tymczasem w duszy dziedzica rozgrywała się walka.

Ile razy spojrzał na żonę — ukazywała mu się postać tercyarki w habicie, przeszywającej go na wylot wzrokiem strasznym...

A kiedy znowu szerokiemi kroki chodził tam i z powrotem po swoim pokoju samotny, uciekłszy od ludzi — i miał przed wzrokiem duszy bladą twarz siostry Felicyi z bielmem na jednem oku, a w myśli wiódł z nią rozmowy dialog: — wtem na jawie stawała na progu jego własna żona z błyszczącemi w oczach łzami i przerywała mu słowem rozpaczy, przywołując go do Czesia...

Już pan Edward prawie decydował się pojechać na folwark, kiedy znów po godzinie siedzenia u łóżeczka chorego synka przy żonie, nie zostawało z tej myśli ani śladu i zaczynało go opanowywać przeświadczenie, że siostra Felicya nie powróci do niego nigdy, że musiała uciec ze wstydem z folwarku sama do Królestwa, że po niej tylko, jak pamiątka, pozostanie waryat, którym będzie trzeba opiekować się w nieskończoność...

Bywały chwile, że się Edwardowi żal robiło na tę myśl, iż nie ujrzy nigdy Felicyi. Wtedy dusza jego rwała się do niej gwałtem... Oburzał się sam na siebie, jak mógł był uwierzyć w to wszystko, co mu o niej naopowiadano. To znów nastawała chwila rozwagi. Tylu ludzi widziało, więc kłamstwo wykluczone. Rzeczy musiały tak się przedstawiać istotnie. Więc postać Felicyi malała w jego oczach. I znowu żal go ogarniał, jak mógł przedtem tak się jej poddać w zupełności, jak mógł pozwolić tej kobiecie zagarnąć naraz całą władzę w tym domu — z pokrzywdzeniem żony.

A w takich chwilach wydawało mu się, że pokuta, jaką żonie naznaczył, zmazała jej winy i odmieniła jej naturę. Patrzał tedy na żonę już innemi oczyma i widział w niej tylko wielką boleść matki.

Ona zaś zapomniała już mężowi uraz wszelkich i przebaczała mu w myśli wszystko, cokolwiek mogła mu mieć do zarzucenia, skoro wreszcie znalazła się u jego boku i weszła na nowo w swoje prawa pani tego domu, żony i matki.

Zresztą poza chorem dzieckiem nic dla niej tam nie istniało.

A dziecku było coraz gorzej.

Lekarz przyjechał po raz wtóry, lecz również krótko zabawił, leki jakieś pozostawił, tylko już nie taił przed rodzicami, że stan chorego chłopczyka jest prawie beznadziejny.

— Jak się Bogu będzie podobało — rzekł mu surowo karcącym tonem dziedzic, wręczając zimno honoraryum. I zaraz do żony wobec doktora jeszcze zwrócił się ze słowami wyrzutu, po co sprowadza medyków, skoro ci nic pomódz nie zdolni, Niebiosa jeno obrażają swoją mądrością.

Po odjeździe doktora zaczęła się agonia powolna. Teklunia przygotowała dziedziczkę, że nadchodzi katastrofa, a wówczas pani Edwardowa, wyczerpana ciągłem czuwaniem dniem i nocą przy chorym, upadła zemdlona. Wyniesiono ją z pokoju dziecinnego, rozebrano i położono do łóżka.

Stara klucznica, widząc, że już niema rady dla biednego Czesia, pocichutku odważyła się na zastosowanie jakiegoś ryzykownego środka z praktyk domowych. A nuż to pomoże... W każdym razie już zaszkodzić nie mogłoby nic dziecku raz na śmierć skazanemu. Przysięgła sobie, że bądź co bądź nie przyzna się nikomu nigdy do tego kroku. Wydawało się staruszce, że skutki zaczynają być pomyślne. Dziecko leżało spokojnie, jakby spało snem zwykłym po silnem znużeniu. Stanowczo stan taki nie mógł uchodzić już za agonią...

Odeszła więc nieco uspokojona do sypialni dziedziczki, zostawiwszy przy łóżku chorego jedynie drzemiącego w krześle z bezsenności przydługiej Edwarda.

Był późny wieczór, kiedy dziedzic ocknął się. Przy nim na podłodze klęczała, czołem o łóżko oparta siostra Felicya. Ręce nad śpiącem dzieckiem wyciągnięte trzymały obrazek Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

Pan Edward przecierał oczy, by się upewnić, że to nie sen.

— Czemu, bracie, rozpaczasz, skoro syn twój jest już uzdrowiony — wyrzekła głośno tercyarka.

Dziedzic nie mógł pojąć, skąd ona się tu wzięła i co wogóle zaszło. Kiedy bardziej oprzytomniał, wpatrzył się wyraźnie w twarz dziecka, dotknął ręką jego czoła, puls pomacał — i nabierał przekonania, że Felicya miała słuszność. (C. d. n.)

Cygani na Błoniach.



Cygani na błoniach: Cygan Goma z Żydaczowa, jeden z przewodników gromady, która do niedawna obozowała na Błoniach za Krakowem.

Ile razy gromada cygańskich tułaczów wiecznych rozbije namioty na Błoniach za Krakowem, śpieszy mnóstwo pań i panienek z miasta za rogatkę Wolską. Przed obozem opadną gości cyganki i dalejże wróżyć z ręki, czy z kart przyszłość tajemniczą... A panny, panienki wierzą słowom wróżbiarek i płacą chętnie, choćby w tych słowach rzekomych przepowiedni jedno głupstwo goniło drugie... To też Cygani, którym tak sowicie opłaca się za każdym razem obozowanie pod Krakowem, mieliby ochotę zjawiać się na Błoniach jak najczęściej, gdyby nie ta fatalność, że niepoczciwa policya prześladuje ich niemiłosiernie... Raz się okaże, iż Cygan czy Cyganka coś zbroili, co się kłóci z kodeksem karnym, a skutkiem czego zginęło coś komuś z domu, ze stajen lub z kieszeni; innym razem w obozie pojawi się groźna epidemia jakaś, o którą nie trudno przy znanej wśród Cyganów niechlujności... Dość, że zawsze ma do nich policya jakieś pretensye i po krótkim postoju muszą wypędzani Cygani wynosić się z całym dobytkiem wędrownym z pod Krakowa, zanimby ich jeszcze stamtąd dalej w świat nie wygnała sama cygańska natura tułacza... Tak było niedawno temu. Coś tam któryś przeskrobał — i zaraz kryminał, wygnanie z pod miasta... Więc przynajmniej dla pocieszenia zmartwionych amatorek wróżbiarstwa w naszem mieście, podajemy podobizny dwóch ładnych typów cygańskich z obozu, który świeżo opuścił Błonia. Jest to para małżeńska, nazwiskiem Goma, w charakterystycznych strojach cygańskich. Oboje pochodzą z Żydaczowa.



Cygani na Błoniach: Cyganka Gomina z Żydaczowa, żona przewodnika gromady, która do niedawna obozowała na Błoniach za Krakowem.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

I.

Trzecia-druga — czeska rzeka,
Pierwszą znajdziesz w liter rzędzie;
Całość — zwodzi nieraz człeka,
Więc odgadnąć łatwo będzie.

II.

Całość — masz u aptekarza,
Pierwsza-czwarta w ziemi bywa,
Druga-czwarta wprost przeraża,
Gdy ją kupiec ci zaśpiewa.
Nazwa miasteczka *trzecia-pierwsza-druga.*
Odgadnąć łatwo — szarada nie długa.

Logogryf.

Ułożył S. Samueli, Limanowa.

Ze zgłosek: a. a, an, ba, ber, cha, ci, cre, cy, dam, dno, du, e, e, gacz, gła, glia, gro, i, ka, kry, li, ło, mo, mi, na, na, nał, ne, ol, ra, rew, ry, sa, su, to, ton, waj, y, za, zna — ułożyć 16 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, utworzą wyrazy, obecnie często powtarzane.

Znaczenie wyrazów: 1. Choroba, często u zwierząt domowych spotykana. 2. Drzewo, należące do rodziny kotkowych. 3. Wyspa na morzu Lodowatem. 4. Samogłoska 5. Miasto na Litwie, 6. Imię męskie. 7. Jeden z polskich królów elekcyjnych 8. Rzecz przy szyciu niezbędna. 9. Jeden z większych dopływów Wisły w Królestwie Polskiem. 10. Inaczej wykształcenie. 11. Znak kapłana na głowie. 12. Oznaka władzy królewskiej 13. Imię znanej powieściopisarki. 14. Twierdza we Włoszech. 15. Inaczej więzienie. 16. Mocarstwo europejskie.

Szarada „głoskowa“ *)

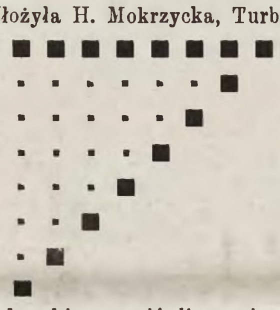
Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Pierwsza jest na **Gibraltarze**,
Druga w niebie przemieszkuje,
Trzecia z **czarą** chodzi w parze,
Czwarta w **królu** się znajduje.
Następuje drugie słowo,
Trochę dłuższe, więcej kręte,
Więc do pracy biedna głowo,
Dokończ, co jest rozpoczęte!
Pierwsza biegnie w puste **stepy**,
Druga cicho siedzi w **kramie**,
Trzecia gości u **Mazepy**,
A zaś czwarta czyha w **bramie**,
Piąta tam jest gdzie **ramiona**,
Szósta leży znów na **grzbiecie**,
Całość będzie wnet skończona,
Już ją wkrótce odgadniecie.
Tylko jeszcze jedna mała
Pozostała mi literka —
No — jest ona w słowie **rama**.
Reszta, to już bagatelka.
A że ręka już ustaje
Dowcip także już zanika,
Więc zakończam. *Całość* daje
Miano i fach polityka. (Nb. w Austryi. *Przyp. red.*)

*) W szaradzie tej trzeba szukać nie zgłosek, ale pojedynczych liter i to w słowach, drukowanych tłustem drukiem. Z liter tych powstanie nazwisko oraz tytuł najgłośniejszej dziś w życiu parlamentarnem Austryi osobistości.

Zagadka trójkątowa.

Ułożyła H. Mokrzycka, Turbia.



Kwadraty i kropki zastąpić literami w ten sposób, aby kwadraty, czytane z dołu do góry, dały nazwisko słynnego poety włoskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Nazwisko poety włoskiego. 2. Większy zjazd w mieście. 3. Kamień, nadający się do artystycznych wyrobów. 4. Zdrobniałe imię żeńskie. 5. Rzeka w Azyi 6 Zwierzę domowe. 7. Słowo używane w preferansie. 8. Spółgłoska.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy utworzyć należy: a, hal, jar, ka, ka, kot, mar, mark, mur, mur, p, pe, re, trar.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **2 funty karmelków** z cukierni lwowskiej J. Michalika w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 23.

Szarady.

I. Proporcye.
II. Wieliczka.

Łamigłówka.

Podane wyrazy należało ustawić, jak następuje:

spowiedź. powozy, alembik, Sofokles odwary, mysza, snopki, Filon, Newa, uczysz, aniołki, fiszbin, berma, zmrok, wczora, Cezar, owocowy, Mińsk, oczko, szalik — a drugie litery utworzą słowa:

Pol, Odyniec, Niemcewicz, przedostatnie zaś:
Dzierzkowski — Morawski.

Logogryf.

Ameib, Lessina, Ekran, Konrad, Sambor, al fresco, Narew, Dyogenes, eleuteryk, raki.

Aleksander Bandrowski.

Zagadka.

Ada, kapucyn, marchew, mahoń, Bug, Rusin, gawot, wir, męt, Rataj, szyby, komedyjka, serafin, Bojko, dno, brama, matka, Boże ciało, aha, Epaminondas, ośmdziesiąt Solness, afisz, cep.

Duchu święty, daj natchnienie!

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Chodkiewicz Zbydniów, M. Arbetbauer Lwów, B. Ramułtowa Jeżów. K. Ludwig Borysław, K. Fuchs Peczeniżyn, Z. Ehrenberg Kraków, J. Aleksandrowicz Kraków, K. Bobek Kraków, L. Rączkowski Kraków, J. Kulczyńska Kraków, Z. Szymczakowska Zakopane, J. Jaroszkówna Brzybysłowice, Fr. Janicki Łazy, M. Weinerowa Przybysłowice, J. Wodziczkówna Germakówka, J. Lipińska Kraków, W Jamioł Przemyśl, A. H. Bassara Niwiska, H. Mokrzycka Turbia, Z. Ciechanowska Sambor, T. Domaiu Sanok, E. Bogdalska Koropuż, Fr. Niepokój Krosno, T. Zgoda Krosno, A. Surowiecki Kraków, A. Bocsoń Bóbrka, T. Oborniak Budapeszt, M. Rożański Gorlice, J. Haładej Górki, M. Świtlikowa Rzeszów, W. Zralski Podgórze, J. Sulkowski Kraków, I. Pompianka Kraków. H Plechawska Stanisławów, Fr. Kośmider Nowy Sącz.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał p. **T. Oborniak w Budapeszcie.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Trzej jednoroczniacy.

W kawiarni europejskiej we Lwowie siedzą przy czarnej kawie trzej kupcy: pan Abeles, pan Salzernas i pan Rosenblatt. Rozmawiają o swych synach jednorocznych ochotnikach, którzy kosztują ojców bardzo dużo.

— Mój — powiada pan Abeles — służy przy infanteryi i kiedyś tu stało mu si wielkie nieszczęści. Un bardzo silny jest i jakoś niechcąco połamał strzelby, który teraz trzeba odkupić. Nu i zatelegrafował do mnie po piniondze i musiałem zaraz posłać sto reński na nowy strzelby, bo żołnierz bez strzelby nie może bicz tak samo, jak nie może bicz kupiec bez interesu! Ali co to kosztuje!

— To si u pana nazywa kosztuje — powiada pan Salzernas — co kosztuje taka durna strzelba, ale niech pan sobi pomyśli w swoi głowy, co mój syn Ryszard służy przy kanonierach. przy artyleryi, to tu kiedyś połamał armaty, a ja musiałem za własne piniondze odkupić cały nowy armaty — pomiście tylko, co to kosztuje taka całkim nowy armata Kruppa?!

— To wszystko jest nic — mówi Rosenblatt — mój syn służy przy marynarki już zaraz cały rok. To na samym początku połamał okręt i musiałem mu posłać telegraficznie pieniondze na nowy okręt, który musiał odkupić, bo chcieli go zamknąć do kryminału. Kilka miesięcy miałem spokój, a wczoraj telegrafował mi mój syn, że złamał zwierciadło morskie — kto wi, ile to będże kosztować?

NADESŁANE.

Zwięzła Historya Sztuki
Dra J. S. Zubrzyckiego
szczególnie uwzględniająca
historyę Sztuki w Polsce.
Do nabycia w Księgarniach.